

**FRANCESCO D'ADAMO**

# **IQBAL**

TYTUŁ ORYGINAŁU

*La storia di Iqbal*

## WSTĘP

Nie wiem, jak wyglądał Iqbal. Wszystkie jego zdjęcia, które odnalazłem w gazetach, były ciemne i nieostre.

W jednym z artykułów napisano, że nie był zbyt wysoki. Próbowałem go sobie wyobrazić. Być może opisałem go piękniejszym, lepszym i odważniejszym niż był w rzeczywistości, ale taki los spotyka bohaterów.

Postać Fatimy natomiast, która opowiada historię Iqbala, jest stworzona przeze mnie. Jestem jednak przekonany, że Iqbal miał wokół siebie, wśród dzieci dzielących jego los, taką właśnie dziewczynkę jak Fatima i innych przyjaciół jak Salman, Maria czy mały Ali.

Musiałem też stworzyć swój Pakistan, bowiem nigdy tam nie byłem.

Ale oprócz tych kilku szczegółów historia, którą przeczytacie jest całkiem prawdziwa. Wszystkie zdarzenia opisane w tej powieści miały faktycznie miejsce. Również te bolesne.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że to smutna historia. Ale to nieprawda, bo jest to historia opowiadająca o odzyskiwaniu wolności.

Historia, która trwa i będzie trwać nadal, już zawsze.

Również wtedy, kiedy o niej czytacie.

\* \* \*

W przedmowie do włoskiego wydania książki zachęcałem czytelników, by rozejrzeli się wokół i nie udawali, że nie widzą. Bowiem nawet w kraju tak bogatym jak Włochy zjawisko pracy wśród dzieci jest obecne. Szacuje się, że co najmniej 800 000 dzieci nie uczęszcza do szkoły. Po części są to dzieci włoskie, ale przede wszystkim - dzieci imigrantów. Są oni Niewidzialni (Niewidzialni, bo nie chcemy ich widzieć, tak jak opowiada nam Fatima w pierwszym rozdziale powieści).

Nie wiem, jak wygląda sytuacja w Polsce, ale wierzę, że prośba, by otworzyć oczy - tak dosłownie jak w przenośni - jest równie aktualna we Włoszech, w Polsce czy w jakimkolwiek innym kraju - bogatym czy takim, który wkrótce stanie się bogaty. Mam wrażenie, że zbyt często osiągnięcie dobrobytu sprawia, iż zapominamy, że nie jesteśmy całkiem bez winy, szczególnie jeśli chodzi o zapewnienie praw najsłabszym, a wśród nich - dzieciom. Dlatego historia Iqbala jest historią uniwersalną i stawia pytania, na które nie wolno nam unikać odpowiedzi.

*Francesco D'Adamo*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tak... Znałam Ikebala\*.

Często o nim myślę, szczególnie w nocy, kiedy się budzę, bo jest mi zimno lub jestem zbyt zmęczona, żeby zasnąć. W pokoju na poddaszu, gdzie mieszkamy u naszych włoskich pracodawców, jest takie dziwne okno, które wygląda ku górze, ku niebu. Nie wiem, jak nazywa się takie okno w waszym kraju. U nas takich nie ma. Ale tutaj, we Włoszech, wszystko jest bardzo inne niż w Pakistanie. Jeszcze nie zdążyłam się przyzwycząić.

Bardzo podoba mi się to okno, bo przy bezchmurnym niebie widać przez nie gwiazdy, a czasem nawet pojawia się sierp księżyca. Odkryłam, że gwiazdy są jedyną rzeczą, która jest identyczna tutaj i tam, gdzie dotychczas mieszkałam, w pobliżu miasta Lahore<sup>1</sup>. Oczywiście te nasze świecą trochę jaśniej, ale wierzę, że gwiazdy są takie same na całym świecie i są pocieszeniem dla tych, którzy mieszkają w obcym kraju, kiedy czują się samotni i smutni.

Jest tutaj ze mną dwóch moich braci. Hasan, troszkę ode mnie młodszy, i starszy - Ahmed. Tak nam się szczęśliwie ułożyło, że Hasan pracuje dla tych samych chlebodawców, którzy przyjęli mnie na służbę. To dobrzy ludzie. Nigdy nas źle nie traktują i - oczywiście - nie biją nas, jak to robili nasi właściciele w Lahore. Praca też nie jest taka ciężka - sprzątam, chodzę na targ, opiekuję się dziećmi.

To moje ulubione zajęcie. Moja pani ma dwoje dzieci - dziewczynkę i chłopca. Są ładni i czyści. Lubią mnie i zawsze wołają:

- Fatimo! Fatimo! Pobaw się z nami!

Bierzemy więc wszystkie lalki, szmaciane kukiełki i inne tajemnicze, dziwne zabawki i bawimy się. Niektóre wydają dźwięki, niektóre same się poruszają, inne mają masę kolorowych, migających światełek. Nie wiem, co się z nimi robi, nigdy takich nie widziałam, czasem prawie budzą we mnie strach. Na początku myślałam, że to jakieś czary, bałam się ich.

Zdarza się, że dzieci tracą do mnie cierpliwość i krzyczą:

- Rany, Fatimo, ale ty jesteś głupia!

Ale uczę się szybko, spędzając dni na zabawie z nimi i odkrywaniu nowych rzeczy, tak jakbym sama jeszcze była dzieckiem. Niestety zawsze w takich momentach wchodzi moja pani i mówi:

---

\* Ikebal - właściwa pisownia Iqbal, jednak w tekście, dla wygody czytelnika, stosujemy spolszczoną pisownię tego imienia. Jest to imię zarówno męskie, jak i żeńskie, pochodzące z języka arabskiego, oznaczające dosłownie „przychodzący”. Wszystkie dalsze objaśnienia znajdują się na końcu książki, [przyp. tłum.]

- Fatimo, co ty tu robisz? Czyż nie powinnaś być w kuchni?

Uciekam wtedy pośpiesznie, zasłaniając twarz ze wstydu, bo przecież mam już szesnaście lat, ba, może nawet siedemnaście, sama dokładnie nie wiem, ale tak czy inaczej jestem już dorosłą kobietą, powinnam być mężatką i mieć własne dzieci.

W Pakistanie nasi właściciele nie pozwalali nam się bawić, nie było na to czasu. Każdego dnia musieliśmy stać od świtu do nocy przy krosnach. Ale pamiętam te czasy, kiedy razem z Ikebałem puszczaaliśmy latawce, jak byliśmy podekscytowani i szczęśliwi, patrząc jak wiatr unosił je wciąż wyżej i wyżej. To było zanim Ikebał wyjechał w swoją długą podróż do miejsca, które nazywa się Ameryka.

- Jak wrócę - powiedział wtedy - będziemy codziennie puszczać latawce.

Stało się jednak inaczej.

Chciałabym nauczyć puszczać latawce dzieci mojej pani, na pewno bardzo by im się to spodobało. Ale nie wiem, czy dalibyśmy radę: w tym mieście nie ma ani wolnej przestrzeni, ani wiatru, ani błękitnego nieba. Latawiec mógłby zaczepić się o anteny i pewnie pozostałby tam na zawsze.

Nie wiem natomiast, co robi Ahmed, mój starszy brat. Widujemy się od czasu do czasu, kiedy nasi pracodawcy dadzą nam pół dnia wolnego. Jest taki plac, gdzie wszyscy się spotykamy, my, Pakistańczycy, mieszkający teraz we Włoszech. Szczerze mówiąc, nie jest to ładny plac. Są tam tylko trzy ławki i kilka uschniętych drzew. I często pada deszcz. Ale nie mamy innego miejsca, gdzie moglibyśmy pójść. Spotykamy się, żeby porozmawiać i trochę się pośmiać, chłopcy stoją z jednej, dziewczyny z drugiej strony placu. Na te okazje my, kobiety, zakładamy *purdah*<sup>2</sup>, rodzaj welonu, który zakrywa włosy i część twarzy, noszony przez nas w poczuciu skromności.

Kiedy przychodzi Ahmed, sprawia wrażenie, jak gdyby cały czas oglądał się za siebie, wymachuje rękoma, mówi, że musimy uważać, mówi, że wkrótce, jak tylko będziemy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, wrócimy do domu, do naszego kraju. Ale on nigdy nie ma pieniędzy, więc często dostaje je od nas. Zdarza się, że czuję od niego zapach piwa, co niestety oznacza, że pije alkohol. Ale nie chcę go oceniać. Jest moim starszym bratem, a poza tym - jak sądzę - musi być tak samo nieszczęśliwy jak my wszyscy. Nie wiem też tak naprawdę, czy chcę wracać do mojego kraju - tam było mi źle, tutaj nie jest mi dobrze.

Istotnie, nikt się tutaj nade mną nie zneęca, nie muszę pracować do kresu sił, nie padam na ziemię z wyczerpania; moje dłonie nie są pokaleczone ani pokryte nieopatrzonymi pęcherzami, prowadzącymi do zakażenia; tutaj nie jestem niewolnicą. Tutaj moi chlebodawcy dają mi jeść, mam gdzie spać i dostaję pieniądze. Nie mogę narzekać i jestem im wdzięczna.

Tutaj jestem wolna. Ale Ahmed mówi, że jeśli wpadniemy, najpierw zostaniemy wysłani do strzeżonego obozu, a potem odesłani do domu. Nie wiem, czy to prawda.

Może dlatego tak dziwnie się czuję, kiedy idę na targ po zakupy. Zakładam *purdah* i biorę dużą torbę. Idę z nisko opuszczoną głową. Na tutejszym bazarze jest dużo więcej towarów niż u nas, ale są zdecydowanie mniej kolorowe, nie takie wesołe. Na początku nie znałam bardzo wielu produktów, nie wiedziałam nawet, jak się nazywają. Wskazywałam palcami: „poproszę trzy, poproszę cztery...”. Często się myliłam i moja pani bardzo się denerwowała.

Teraz jest już łatwiej.

Ale faktem jest, że nikt mnie nie zauważa. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Idę samym środkiem, w tłumie ludzi, którzy rozmawiają, krzyczą, witają się i tylko ja jestem jakby niewidzialna. Nikt się do mnie nie odzywa ani słowem. Potrącają mnie w tłoku i nikt nawet nie powie przepraszam. Aż przyszło mi kiedyś do głowy, że może stałam się duszkiem *jin* - jednym z tych, których nie widać i które zabawiają się, rozbijając w domu wazony lub sprawiając, że znikają różne przedmioty. Idę, ale mnie nie ma. Zatrzymuję się, żeby obejrzeć stragany pełne owoców i warzyw, ale mnie nie ma. Robię zakupy, sprzedawca podaje mi towary, bierze ode mnie pieniądze, odlicza resztę, którą natychmiast sprawdzam, żeby się nie dać oszukać, a on patrzy przeze mnie na osobę stojącą za moimi plecami, rozmawia z nią, śmieje się, żartuje. Mnie nie ma.

Dlatego jest mi smutno nocami na moim poddaszu.

I właśnie w takich chwilach myślę o Ikebalu, wyobrażając sobie, że jest moim mężem. Wiem, że to głupie. Tak robią tylko niemądre dziewczyny, szepcząc sobie nawzajem do ucha różne bzdury, żeby się pośmiać.

Mnie nawet nie wypada tak myśleć. W moim kraju nie ma zwyczaju, żeby dziewczyna wybierała sobie kandydata na męża. O tym decyduje rodzina, która prowadzi negocjacje i ustala posag. Tak było od zawsze - z moją matką, z matką mojej matki, więc pewnie tak właśnie musi być.

Tutaj, we Włoszech, jest oczywiście inaczej. Ale ja już jestem za stara na znalezienie męża. Nikt by mnie nie zechciał.

A jednak są takie noce, kiedy niebo jest zimne i czarne, kiedy cichnie już uliczny gwar. Leżę, wpatrując się w ciemność i chciałabym płakać, lecz nie potrafię. Wyobrażam sobie wtedy Ikebala, który idzie ścieżką prowadzącą do domu moich rodziców, w towarzystwie swoich przyjaciół i krewnych. Idzie też z nimi Eshan<sup>3</sup> Khan<sup>4</sup>, człowiek, który stał się drugim ojcem Ikebala; wszyscy są odświętnie ubrani.

Wyobrażam sobie, że czekam na niego w pokojach dla dziewcząt. Nie wolno mi pokazać emocji, które ściskają moje serce. Jestem ubrana na czerwono, jak przystało na pannę młodą dłonie i stopy mam przyozdobione motywami kwiatów, wymalowanymi ciemną chną przez moje siostry. Wyobrażam sobie, że Ikebal wchodzi do mojego domu pachnącego kwiatami i kadzidłami i - w obecności moich rodziców, braci i krewnych - bierze mnie za żonę i odchodzimy, ja i on, razem, wolni.

Wiem, że to tylko marzenia. Urojenia. Wiem, że Ikebal nie może wrócić, żeby zabrać mnie z tego dziwnego, obcego kraju. I nawet nie wiem, czy kiedykolwiek choćby pomyślał był, że mogłabym zostać jego żoną. W końcu pięć lat temu byliśmy małymi dziećmi.

Ikebal był moją wolnością. Jediną wolnością, być może, całego mojego życia.

Pozwólcie więc mi marzyć. To przecież nikomu nie szkodzi.

Dla niego nie byłam niewidzialna. Istniałam naprawdę.

Dlatego opowiadam historię Ikebala, taką jaką znałam, tak jak ją pamiętam.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Dom Hussaina Khana, naszego właściciela i pryncypała, znajdował się na przedmieściach Lahore, w zakurzonym, wypalonym słońcem polu, gdzie wypasano stada bydła przybywające z północy. Dom był duży, w połowie murowany, w połowie blaszany, z centralnym, brudnym, niewybrukowanym podwórzem. W podwórzu znajdowała się studnia i wiata wykonana z trzciny, gdzie przechowywano bele wełny i bawełny. Stała tam też stara furgonetka marki Toyota, a w głębi widać było częściowo ukryte w jeżynach i chwastach zardzewiałe żelazne drzwi, prowadzące stromymi schodami w dół do Lochu.

Fabryka dywanów znajdowała się w części wykonanej z blachy, przez co było tam bardzo gorąco latem i lodowato zimą. Pracę rozpoczynaliśmy pół godziny przed wschodem słońca. Wówczas żona pryncypała schodziła na dół w szlafroku i w kapciach, przechodziła przez podwórze w niepewnym świetle umykającej nocy, niosąc nam okrągłą blachę chleba *chapati*<sup>5</sup>, trochę *dahi*<sup>6</sup> lub zupy z soczewicy. Jedliśmy chciwie, maczając chleb w dużej wspólnej misce stojącej na ziemi, rozmawiając i opowiadając sobie sny ostatniej nocy.

Sny, jak mawiała moja babcia, a potem moja mama, mieszkają w nieznannej części nieba, tak odległej, że nawet nie możemy sobie tego wyobrazić i schodzą na ziemię przywoływane przez ludzi, przynosząc ból lub ukojenie, radość lub przygnębienie lub też - czasami - są całkiem pozbawione sensu i znaczenia.

I nie mamy podstaw, by twierdzić, że zły człowiek przywołuje złe sny, a głupi - głupie, bo kimże jesteśmy, by uzurpować sobie prawo do rozumienia wyroków niebios?

Babcią mawiała też, że źle się dzieje, kiedy przestajemy śnić, bo to trochę tak jakbyśmy nie otrzymywali wyrazów serdeczności od kogoś, kto wprawdzie jest daleko, ale jednak ciągle o nas myśli. Mnie nie śniło się nic już od wielu miesięcy, innym też nie, ale baliśmy się przed sobą do tego przyznać. Rankiem czuliśmy się bardzo samotni, dlatego wymyślaliśmy swoje sny i były to zawsze sny piękne, pełne światła, kolorów i wspomnień o rodzinnym domu, jeśli ktoś zachował jeszcze jakiegokolwiek wspomnienia. Prześcigaliśmy się w stwarzaniu najbardziej fantastycznych obrazów, opowiadając o nich w pośpiechu, z pełną buzią, dopóki nie przerywała nam właścicielka mówiąc:

- Już dość! Dosyć!

Szliśmy wtedy po kolei do ubikacji schowanej w głębi sali za brudną zasłonką. W pierwszej kolejności szli ci, którzy spali przykuci łańcuchami do krosien, „kapuściane głowy”, jak nazywał ich pryncypał - to ci, którzy pracowali mało i źle, którzy mylili kolorowe

nitki w wątku, robili błędy we wzorach dywanów (co było najpoważniejszym wykroczeniem) lub płakali z powodu pęcherzy na dłoniach.

„Kapuściane głowy” były naprawdę głupie. Wszyscy przecież wiedzą, że w takich wypadkach wystarczy wziąć nóż, który używaliśmy do wygładzania supelków i przekłuć bąble. Wypływa płyn, trochę boli, ale z czasem skóra odrasta, twardnieje i potem już jest dobrze. Trzeba umieć czekać.

My, którzy nie byliśmy przykuwani do krosien, po trosze współczuliśmy „kapuścianym głowom”, a po trosze się z nich wyśmiewaliśmy. Przeważnie były to osoby nowe, dopiero co przybyłe, które jeszcze nie rozumiały, że jedyną dla nas drogą powrotu do wolności jest pracować dużo i możliwie jak najszybciej, tak by znaczki zapisane kredą na naszych tabliczkach zniknęły jeden po drugim, aż do ostatniego, bo wtedy można wrócić do domu.

W dniu, w którym przyjechałam - przed tyłu laty - Hussain Khan, mój właściciel i pryncypał, wziął czystą tabliczkę, narysował na niej jakieś znaczki i powiedział:

- To jest twoje imię.

- Tak, psze pana.

- To jest twoja tabliczka. Nikt nie może jej dotknąć. Tylko ja. Zrozumiałas?

- Tak, psze pana.

Potem dorysował dużo więcej znaczków, jeden obok drugiego, nastroszonych jak włosy na grzbiecie przestraszonego psa, pogrupowanych po cztery. Nic z tego nie rozumiałam.

- Umiesz liczyć? - zapytał.

- Prawie do dziesięciu - odpowiedziałam.

- Popatrz - powiedział Hussain Khan - to jest twój dług. Każdy znaczek to jedna rupia<sup>7</sup>. Będę ci płacił jedną rupię za każdy dzień pracy. To uczciwe. Nikt by ci więcej nie zapłacił. Każdy ci to powie. Zapytaj, kogo chcesz: wszyscy potwierdzą, że Hussain Khan jest dobrym i uczciwym panem. Dostaniesz tyle, ile ci się należy. Każdego dnia o zachodzie słońca będę ścierał jeden znaczek z twojej tabliczki, na twoich oczach. Będiesz mogła być dumna i twoi rodzice będą dumni, bo będzie to owoc twojej pracy. Zrozumiałas?

- Tak, psze pana - odpowiedziałam po raz kolejny, choć nie było to prawdą, nie rozumiałam zupełnie nic. Patrzyłam na te dziwne znaczki, gęste jak drzewa w lesie i nie potrafiłam odróżnić swojego imienia od długu, tak jakby były jednym.

- Kiedy zetrę wszystkie te znaczki - dodał Hussain Khan - kiedy zobaczysz, że twoja tabliczka jest całkiem czysta, wówczas będziesz wolna i będziesz mogła wrócić do domu.



Nigdy nie zobaczyłam czystej tabliczki ani mojej, ani żadnego z moich kolegów.

Kiedy „kapuściane głowy” wracały z ubikacji za zasłonką i zostały od nowa przykute do swoich miejsc pracy, wówczas my, „wolni”, mogliśmy pójść załatwić swoje potrzeby i ochlapać twarz wodą. W głębi, w toalecie, było malutkie okienko, usytuowane bardzo wysoko, przez które można było dostrzec obsypane kwiatami gałęzie migdałowca. Każdego dnia zatrzymywałam się tam o minutę dłużej niż musiałam i próbowałam, podskakując rozpaczliwie, jak najwyżej, złapać się zniszczonej drewnianej ramy okiennej, by wdrapać się na górę i wyjrzeć na zewnątrz. Miałam wtedy dziesięć lat, byłam mała i drobna - nadal zresztą taka jestem - i nie byłam w stanie nawet musnąć palcami krawędzi okna. Niemniej jednak każdego dnia wydawało mi się, że sięgam coraz wyżej - chociaż o tyci, tyci, o milimetr - i byłam pewna, że wkrótce uda mi się wspiąć i wychylić się przez ten niewielki otwór, tak by dotknąć kory migdałowca.

Nie wiem, czemu przykładałam tak dużą wagę do rzeczy tak drobnej i głupiej, ale wydawało mi się wówczas, że jest to jakiś krok ku wolności czy coś w tym rodzaju. Nie było to prawdą oczywiście.

Znaleźliby mnie w ogrodzie sąsiedniego domu, żona Hussaina Khana przyszłaby, żeby mnie odebrać, wymachując batem i krzycząc: „Mały oberwaniec! Mała niewdzięczna żmija!”.

Trafiłabym na trzy dni, a może nawet na dłużej do Lochu i tyle by było. A jednak próbowałam, każdego ranka.

Pracowałam dla Hussaina Khana przez trzy lata i nigdy nie trafiłam do Lochu. Na samym początku któreś z dzieci zawistnie twierdziło, że byłam oczkiem w głowie Hussaina i dlatego mnie nie karał. To nieprawda. Nigdy nie byłam ukarana, bo pracowałam szybko i dobrze, jadłam to, co mi dawano bez protestów, a w obecności pryncypała zawsze milczałam, nie tak jak inni, którzy próbowali odpowiadać. Choć faktycznie zdarzyło się kilka razy, że Hussain zbliżał się do mnie, głaskał mnie przy wszystkich i mówił:

- Mała Fatimo, moja mała Fatimo.

Cała w środku drżałam, nie bardzo to rozumiałam, bałam się i chciałam zniknąć, zapaść się pod ziemię.

Hussain Khan był gruby, miał czarną brodę i małe oczka. Jego ręce zawsze były jakby wysmarowane olejem i pozostawiały tłuste ślady w miejscach, gdzie mnie dotykał.

Czasem nocami, jak jeszcze spałam, śniło mi się, że Hussain Khan spaceruje w ciemnościach i podchodzi do mojego posłania obok krosna. Czułam jego ciężki oddech i smród papierosów z jego kurtki, słyszałam chrzęst piasku na posadzce pod jego stopami. Podchodził i głaskał mnie szepcząc: „Mała Fatimo...”.

Następnego ranka, schowana za brudną zasłonką w głębi hali, oglądałam całe swoje ciało, szukając tłustych śladów. Nie znajdowałam. Był to tylko koszmar, który prześladuje małe dzieci, kiedy się czegoś boją.

Praca zaczynała się wraz ze wschodem słońca. Pani klaskała trzy razy w ręce, każdy z nas siadał przy swoim krośnie i po chwili zaczynaliśmy tkąć wszyscy razem, równocześnie, jakby poruszała się tylko jedna para rąk. Podczas pracy nie wolno nam było się zatrzymywać, rozmawiać i rozpraszać. Mogliśmy tylko patrzeć na tysiące nitek kolorowego wątku, spośród których musieliśmy wybrać tę właściwą, by odtworzyć powierzony nam wzór dywanu, porównując go nieustannie z tym, który pryncypał przyczepiał przed nami na kawałku papieru.

Z każdą godziną powietrze stawało się coraz cieplejsze, pełne kurzu i strzępków wełny, a hałas krosien był tak głośny i rytmiczny, że prawie całkiem zagłuszał odgłosy miasta, które budziło się do życia. Silniki starych samochodów i furgonetek załadowanych towarami, ryk osłów zapierających się kopytami, krzyki ludzi, nawoływanie sprzedawcy herbaty, zgiełk pobliskiego targu. Hałas narastał wraz z upływem dnia, kiedy Lahore wylegało na ulice. Zaczynały mnie boleć ramiona i plecy. Odwracałam wówczas głowę, tylko na małą chwilkę, w kierunku drzwi, przez które widać było korytarz i słońce, bo nie wiedziałam, ile brakuje do jedynej przerwy w ciągu dnia, a moje ręce i stopy pracowały same, mechanicznie. Chwytały nitki, zaciskały supelki, poruszały pedałami i potem znowu, i znowu, następne tysiące razy. Robił mi się następny bąbel, bolało, ale to nie miało znaczenia, bo wieczorem Hussain Khan miał ocenić moją pracę, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy pracowałam starannie, a później zetrzeć jeden znaczek z mojej tabliczki - jedna rupia za każdy dzień pracy.

To już trzy lata jak ściera te znaczki, a wszystkie są tam nadal, tak jak były, a przynajmniej tak mi się wydaje. Czasem nawet mam wrażenie, jakby ich przybyło - ale to jest niemożliwe. Znaczki zapisane kredą na mojej tabliczce nie są przecież jak złośliwe chwasty w ogrodzie mojego ojca, które rosły same, by w jedną noc zniszczyć cały zbiór.

W przerwie obiadowej wywlekaliśmy się na zewnątrz, na podwórze, otepiali ze zmęczenia. Siadaliśmy na słońcu wokół studni, żeby zjeść nasze *chapati* z warzywami i napić się wody, bo w ustach mieliśmy pełno wełny. Nieliczni tylko mieli jeszcze siłę, żeby rozmawiać, śmiać się, próbować bawić się kawałkami drewna lub tym, co było pod ręką. Odpoczynek trwał godzinę, głód znacznie dłużej. Potem wracaliśmy na halę, podczas gdy Hussain Khan i jego żona chowali się do domu przed popołudniowym upałem.

Mogli nas nie pilnować nawet przez kilka godzin - i tak nikt nie miałby odwagi uciec,

a nie mogliśmy przecież nie pracować: wieczorem centymetr krawiecki Hussaina określiłby dokładnie, jak spędziliśmy ten czas. Dobrze wiedzieliśmy, że za słabą pracę nie dostaniemy zapłaty.

Tak upłynęły ostatnie trzy lata mojego życia. Niczego już nie oczekiwałam. I myślę, że inni też już niczego się nie spodziewali. W pierwszych miesiącach często myślałam jeszcze o swojej rodzinie, o mamie, o braciach i o siostrach, o moim domu, o naszej wsi, o bawole, który ciągnął pług, o deserze *laddu*<sup>8</sup>. z mąki z ciecierzycy, cukru i migdałów, który jadaliśmy na święta. Ale wraz z upływem czasu i te wspomnienia wyblakły, niczym wzory na zbyt długo używanych dywanach.

Aż do dnia - a było to wczesnym latem - w którym pojawił się Ikebal.

A z nim wolność.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ikebal, pamiętam to bardzo dobrze, przybył pewnego ranka na początku lata. Gorące słońce było już wysoko, a długie smugi jego światła, w których wirował kurz, przenikały przez ściany blaszanego hangaru, gdzie pracowaliśmy. Dwie z nich krzyżowały się dokładnie na wątku dywanu, który tkalam, podkreślając jego żywe kolory, a ja wyobrażałam sobie, że są to ostrza dwóch mieczy staczających śmiertelny pojedynek.

Zdecydowałam, że jeden będzie mieczem dobrego człowieka, a drugi - nikkzemnika. Poruszając pedałami krosna, byłam w stanie sprawić, żeby dobry miecz na chwilę osiągał przewagę, zmuszając przeciwnika do ucieczki, który później jednak powracał do zajadłego kontrataku.

Karim, który miał prawie siedemnaście lat, a jego palce były już zbyt grube i niezdarne, żeby wyplatać miękkie i delikatne nitki dywanów i dlatego stał się w pewnym sensie naszym nadzorcą opowiadał, że był kiedyś dwa razy w kinie. Podobno widział tam takie filmy, na końcu których, po długich zmaganiach, zawsze wygrywał bohater pozytywny. Potem przywdziewał piękny strój z kolorowego jedwabiu i prosił o rękę swojej wybranki. Ojciec panny nie mógł odmówić, a nawet był rad, że oddaje córkę bohaterowi, który pokonał nikkzemnika, narażając własne życie.

Być może Karim naprawdę był w kinie, tak sędzę, mimo że dla nas było to nieosiągalnym marzeniem. Czasem bowiem, wieczorami, kiedy był w dobrym humorze, opowiadał nam różne epizody ze wszystkimi szczegółami. Nie mógł ich sobie przecież wymyślić, nie miałby takiej wyobraźni. Były to filmy bardzo długie i wielowątkowe. Opowiadanie pierwszego z nich zajęło mu ponad dwa miesiące, również dlatego, że nie każdego wieczoru miał na to ochotę. Był bardzo kapryśny. Kiedy dotarliśmy do końca opowieści, nie pamiętaliśmy już początku i prosiliśmy, by zaczął od nowa.

Marzyłam o tym, żeby móc pójść kiedyś do kina. Ani moja mama, ani mój tata, ani żadne z mojego rodzeństwa nigdy nie byli w kinie. Byliśmy zbyt ubodzy. Kino było luksusem zarezerwowanym dla bogatych mieszkańców miasta. Tak jak i telewizja.

Nasi właściciele mieli telewizor. Nocami, kiedy próbowaliśmy zasnąć, słyszeliśmy jakieś dziwne odgłosy dobiegające z salonu Hussaina Khana i przez plecione zasłonki na oknach widzieliśmy kolorowe, migające światełka.

Karim opowiadał nam, że rzekomo doczołgał się kiedyś aż pod okno salonu, zajrzał do środka i zdołał obejrzeć prawie pięć minut meczu krykieta.

- Co to jest krykiet? - spytałam.

- Cicho bądź, głupia! - burknął.

Ale ta historia, według mnie, była zmyślona. Faktem jest, że Karim podlizywał się pryncypałowi i że nas dla niego nadzorował, w przeciwnym razie bowiem nie miałby się gdzie podziać i co jeść, ale nigdy nie zdobyłby się na odwagę, żeby zrobić coś podobnego. Biada temu, kto zbliżyłby się do domu właścicieli.

Byłam rozkojarzona. Ledwo zdążyłam złapać nitkę, która mi uciekała. Słońce schowało się za chmurami. Moje dwa miecze przerwały walkę. Wszyscy się odwróciliśmy. Hussain stał w drzwiach, tarasując je całym swoim ciałem. Był ubrany jak na podróż, w długiej kapocie sięgającej mu do stóp i w wysokich, lekkich butach pokrytych czerwonym błotem. W lewej ręce trzymał worek, a prawą ścisnął ramię chłopca kilka lat starszego ode mnie. Ścisnął go aż do bólu.

Chłopak był niezbyt wysoki, szczupły, ciemny. Pomyślałam, że jest ładny. A potem, że nie, że jednak nie jest ładny, ale miał takie oczy, których nigdy nie zapomnę, oczy mojego Ikebala. Były słodkie, głębokie i pozbawione strachu.

Zatrzymał się w progu warsztatu. Wielka ręka Hussaina w silnym uścisku miażdżyła mu ramię.

Wszyscy na niego patrzyliśmy - było nas wtedy czternaścioro, plus Karim, nasz nadzorca. Wszyscy - jestem tego pewna - myśleliśmy to samo: że ten nowy chłopak, który przybył, by do nas dołączyć, jeden z wielu, którzy na przestrzeni lat przyjeżdżali i odjeżdżali, miał w sobie coś innego, coś, czego w tamtym momencie nie byliśmy w stanie dobrze zrozumieć. Patrzył na nas, na każdego po kolei. Był smutny, to rozumiałe, był smutny jak ktoś, kto od długiego czasu jest daleko od domu, od swoich rodziców i bliskich, jak ktoś, kto jest właściwie niewolnikiem, jak ktoś, kto nie wie, jaka będzie jego przyszłość i co się z nim stanie; był smutny jak chłopiec, któremu nigdy nie było dane biegać za piłką ani włożyć się po *suku*<sup>9</sup> popołudniami, próbując ukraść jakiś owoc ze stoiska lub rzucając kamyczkami o ścianę.

Ale nie było w nim strachu, niech to diabli...

- Na co się gapicie? - warknął Hussain. - Wracajcie do pracy!

Wszyscy natychmiast odwróciliśmy się do swoich krosien, aby po chwili znowu rzucać im ukradkowe spojrzenia. Hussain zaprowadził nowego chłopca do wolnego krosna, akurat obok mnie. Wyjął spod spodu zardzewiały łańcuch i przykuł nim prawą nogę chłopca.

- To będzie twoje miejsce - powiedział. - Tu będziesz pracował. I jeśli będziesz pracował dobrze...

- Wiem - przerwał chłopak.

Hussain na chwilę zaniemówił. Wziął, jak zwykle, tabliczkę, całą zapisaną znaczkami.

- To jest twój dług - zaczął - i ja każdego wieczoru...

- Wiem - przerwał ponownie nowy chłopak.

- Dobrze więc - powiedział Hussain - dobrze, Panie Wszystkowiedzący. Twój poprzedni właściciel uprzedził mnie, że jesteś uparty i pyszny. Ale tutaj przejdzie ci na to ochota. Powiedział mi jednak również, że nikt nie potrafi pracować tak jak ty, jeśli tylko chcesz. Zobaczymy. Zobaczymy.

Hussain skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się w progu i wskazał palcem na Karima.

- A ty, pilnuj go dobrze. - warknął.

Karim skinął głową, ale najwyraźniej nie był przekonany.

Nowy chłopak usiadł na swoim miejscu i natychmiast wziął się do pracy. A my wszyscy nadal obserwowaliśmy go w milczeniu, osłupiali. Nikt nie był tak zręczny i szybki jak on, nikt nie potrafił zaciskać supełków z taką precyzją i wyczuciem. Jego palce latały między czółenką i osnową jak żadne inne. A wzór, który mu powierzył Hussain, był jednym z najtrudniejszych.

Kolejno i my wróciliśmy do pracy. O jednej rzeczy byliśmy wszyscy przekonani: on nie był „kapuścianą głową”, z całą pewnością. To nie dlatego został przykuty łańcuchem.

Był przykuty z innego powodu.

- Jak się nazywasz? - zapytał go Karim, próbując nadać pytaniu szorstki ton.

- Ikebal - odpowiedział. - Ikebal Masih.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego samego wieczoru, kiedy Hussain zgasił już światła i byliśmy pewni, że zasnął, wyznaczyliśmy Alego - najmłodszego z nas wszystkich - do pilnowania drzwi, po czym przemknęliśmy się po cichutku przez halę warsztatu, by zapoznać się z nowym chłopcem. Razem ze mną poszedł Karim, który mimo że nie zrezygnował oczywiście ze swojej funkcji nadzorcy i mógłby nam tego zabronić, nie mógł oprzeć się ciekawości. Poszedł też Salman, mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, wyglądający jednak na znacznie starszego. Jego skóra na twarzy i rękach była cała krostowata od słońca i gliny, z której wyrabiał cegły przez przeszło trzy lata w jakiejś cegielni w okolicach Karaczi<sup>10</sup>. Wszyscy się go trochę obawialiśmy, bo był szorstki i grubiański. Poszła mała Maria, dziewczynka młodsza ode mnie, drobniutka jak ptaszek, z króciutko obciętymi włoskami schowanymi pod bawełnianą chusteczką którą zawsze nakrywała głowę.

Nikt nigdy nie słyszał, żeby wymówiła choć jedno słowo począwszy od dnia, w którym przyjechała do nas na początku zimy i nie wiedzieliśmy, czy była niemową czy co. Również jej imię, Maria, wymyśliliśmy sami, a ona szybko się go nauczyła. Spała zwinięta w kłębek przy swoim krośnie i chodziła za mną zawsze i wszędzie jak cień.

Reszta wolała spać, bo albo byli zbyt zmęczeni, albo nie mieli ochoty po raz kolejny wysłuchiwać opowieści nowo przybyłego dziecka, takiej samej jak poprzednie. Wszyscy bowiem byliśmy ubodzy, a nasi rodzice sprzedali nas w nadziei, że w ten sposób uda im się spłacić dług, który zaciągnęli u właściciela ziemskiego lub u bogatego kupca z miasta. To była właśnie ta kwota, którą Hussain rysował kredą w postaci znaczków na tabliczce każdego z nas.

Cóż więc mógł i usłyszeć nowego?

Ikebal nie spał. Słyszeliśmy, jak jego łańcuch dzwonił w ciemnościach. Pierwszej nocy, kiedy przyjeżdża się w nowe miejsce, nie wiedzieć czemu, nigdy nie można zasnąć. Każdy z nas zmieniał już dwa lub trzy razy właściciela, niektórzy nawet więcej, więc dobrze to znaliśmy. Ścieśniliśmy się wokół Ikebala. Nie było księżyca, z trudem mogliśmy odróżnić nasze sylwetki w ciemnościach.

- Bądź czujny, Ali - poprosiliśmy.

Hussain zawsze bardzo się denerwował, kiedy zdarzało mu się przyłapać nas, że nie śpimy w nocy. Mówił, że następnego dnia będziemy oglupiali i powolni i że nie będziemy pracować wystarczająco dobrze.

Ali odpowiedział nam serią krótkich gwizdów, co oznaczało: wszystko w porządku.

- Mój ojciec wychodził z domu bardzo wczesnym rankiem - zaczął opowiadać Ikebal - kiedy pojawiał się pierwszy promień słońca i od razu zaprzęgał bawołu do lekkiego pługu. O tej porze, nawet latem, powietrze było jeszcze rześkie, łatwo było oddychać, a wszędzie wokół widać było rozległe pola, na których inne rodziny chłopskie pracowały tak jak i my. Szedłem razem z ojcem, niosąc w torbie butelkę wody i warzywa, które przygotowywała dla nas mama. Na początku ojciec pracował z wielkim zapałem, a jego szczupłe ramiona zdawały się nie odczuwać ciężaru pługu. Ale już po kilku godzinach musiał zwalniać i wydawało się, jakby ziemia zamieniła się w skałę. Widziałem strużki potu, które zaczynały mu spływać po klatce piersiowej i po twarzy, a czerwony kurz pokrywał mu włosy. Pług nie zagłębiał się już tak jak wcześniej i nawet bawół stawał z nadmiernego gorąca i ryczał. Później, między dwunastą a trzecią, słońce stawało się nie do zniesienia, a upał zbyt wielki, by móc pracować. Cały świat zdawał się rozplýwać we mgle i w spiekocie. Chowaliśmy się wówczas w cieniu drzewa, jedliśmy przyniesioną ciecierzycę, popijając niewielką ilością ciepłej wody, podczas gdy bawół wymachiwał nerwowo ogonem, żeby opędzić się od owadów.

- To jest błogosławiona ziemia - mawiał mój ojciec. Ziemia urodzajna i żyzna, dobrze nawodniona. Popatrz, jak wszystko tu rośnie, wystarczy rozrzucić ziarno na polu i - jak Bóg pozwoli - jedna rodzina mogłaby żyć tutaj dostatnio przez całe życie. Zapamiętaj to sobie, synu.

- Tak, ojczy - odpowiadałem.

Ale w naszym domu nie było dostatku, zawsze brakowało jedzenia, a mój starszy brat ciągle kasłał i źle się czuł. Kiedyś zapytałem ojca dlaczego tak jest, że cała pszenica, owies i warzywa, które uprawialiśmy, były ładowane na wozy w dniu zbioru, a w naszej chacie zostawał tylko jeden worek połamanego, uszkodzonego ziarna i marny krzak wysuszonej ciecierzycy obok paleniska.

- Dlatego, że wszystko należy do właściciela - odpowiedział ojciec.

- I to jest sprawiedliwe? - pytałem.

- On jest właścicielem, a my kimże jesteśmy?

- Mój ojciec też tak mawiał - przerwał Salman - ale mawiał też, że właściciel jest skąpy i zły. Czasem wieczorami, w czterech ścianach naszej chaty, strasznie mu złorzeczył. Moja mama drżała ze strachu i błagała:

- Zamilknij, na litość boską! Gdyby usłyszał cię właściciel...

Była przekonana, że właściciel ma tysiące oczu i tysiące uszu. Ach, te kobiety... - zakończył Salman pogardliwie - nic nie rozumieją.



Chciałam mu przerwać i powiedzieć, co o tym myślę. Był przekonany, że wszystkie jesteśmy głupie i nieużyteczne. A ja przecież pracowałam tyle co on, a czasem nawet więcej. Nic jednak nie powiedziałam, bo Salman miał trudny charakter i nie lubił, gdy ktoś mu się sprzeciwiał. Był typem buntownika. Raz nawet trafił do Lochu na dwa dni, a kiedy wyszedł, wyczerpany upałem i pogryziony przez skorpiony, splunął na ziemię i powiedział:

- Nic to.

Mówił, że wszystko jest pestką w porównaniu z pracą w cegielni. Ale nigdy nie zgodził się nam opowiedzieć, jak to jest wyrabiać cegły. Ja nawet nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić i modliłam się, żeby mój pryncypał nigdy nie sprzedał mnie właścicielowi cegielni. Cóż bym wówczas poczęła?

- Nie należy mówić źle o właścicielach - stwierdził Karim. - Co byśmy zrobili bez Hussaina Khana? To on nas żywi i chroni. To on pozwala nam pracować i spłacać dług naszych rodzin.

- Zgadza się - zadrwił Salman - i to on pewnego pięknego dnia cię przepędzi, bo już nie będziesz mu do niczego potrzebny i skończysz jako włóczęga na ulicy.

- To nieprawda - zaprotestował Karim. - Hussain wie, że jestem mu oddany i potrzebuje mnie.

- Aha, żebyś szpiegował.

Pomyślałam, że zaraz pobiją się w ciemnościach. Salman miał rację: Karim był zawsze gotowy donosić Hussainowi o wszystkim, co się działo lub co zostało powiedziane w warsztacie. Ale czasem wydawało się, że był po naszej stronie. Nie rozumiałam go.

- Mój ojciec jest dobrym człowiekiem - ciągnął Ikebal, - Nigdy nie powiedział na nikogo złego słowa. Zawsze akceptował swój los. Nawet kiedy stan mojego starszego brata znacznie się pogorszył i całymi nocami kasłał i jęczał, mój ojciec nic nie mówił. Posłał po doktora do wsi. Doktor przyjechał ze swoją torbą i okularami, ukucnął obok siennika i jakimś dziwnym przyrządem osłuchał mojego brata - najpierw klatkę piersiową, potem plecy i pokręcił głową.

- Tak jest - wtrącił Karim - też coś takiego widziałem.

- Potem rozmawiał z moim ojcem, wziął swój kapelusz, bambusową laskę i wyszedł. Mama płakała, straciła już bowiem wcześniej inne dzieci. Następnego ranka, kiedy zaprzęgaliśmy bawołu do pługa, ojciec powiedział mi, że doktor wróci i przyniesie jakieś lekarstwo, które być może uratuje życie mojemu bratu. Faktycznie, doktor wrócił z jakimś drugim, dobrze ubranym mężczyzną, pewnie kupcem lub właścicielem ziemskim, i on również rozmawiał z moim ojcem. W pewnym momencie wydobył zza pasa grubą

portmonetkę, wyjął z niej banknoty i pokazał je mojemu ojcu. Ojciec jednak pokręcił głową i powiedział: - Nie.

- A co się stało z twoim bratem? - zapytałam go.

- Nie wyzdrowiał. Majaczył przez cały dzień i całą noc. Mój ojciec nie miał już nikogo, kto mógłby mu pomóc w polu. Ja byłem jeszcze wtedy za mały i za słaby. Rozmawiał długo z moją mamą. Potem dosiadł bawołu i pojechał do wioski. Wrócił bardzo późnym popołudniem, wyszedł z motyką w pole, nie przebrawszy się nawet, i pracował aż do zapadnięcia zmroku. Wrócił, ciężko oddychając, nie zjadł kolacji. Przywołał mnie do paleniska i powiedział, że ktoś pożyczy mu dużą sumę pieniędzy - dwadzieścia sześć dolarów - powiedział, a ja próbowałem bezskutecznie przeliczyć to na rupie. Za tę kwotę cała rodzina będzie mogła przeżyć aż do następnych zbiorów, a mój brat dostanie nowe lekarstwo i - jeśli Bóg pozwoli - wyzdrowieje. Powiedział, że ja będę musiał pracować przez wiele miesięcy, żeby pomóc rodzinie w spłaceniu długu i że nie będziemy się widzieć, ale że za to nauczę się tkąć dywany, a to się zawsze może przydać w życiu, nigdy nie wiadomo.

- Mój tata też zaciągnął dług - wyszeptalam w ciemnościach - po tym, jak zerwała się tama i straciliśmy cały zbiór.

- Mój też - powiedział Karim - ale nie wiem dlaczego.

- Mój ojciec - ciągnął Ikebal - powiedział też, że zamiast mnie mógłby wysłać do pracy jedną z moich sióstr, ale zaprotestowałem:

- Nie, wyślij mnie.

Przytulił mnie wówczas i zapytał:

- Boisz się?

- Nie - skłamałem.

Właściciel fabryki dywanów przybył następnego ranka. Przyjechał samochodem, był bardzo uprzejmy, nawet dla mojej mamy. - Zawiozę cię do miasta - zwrócił się do mnie. - Spodoba ci się, zobaczysz.

Kiedy odjeżdżaliśmy, odwróciłem się jeszcze, by spojrzeć po raz ostami przez tylną szybę samochodu i zobaczyłem mojego ojca, który aż do krwi bił batem bawołu, ciągnąc go przez pole. Gdybyście słyszeli ten ryk... Biedne zwierzę. Na chwilę zapanowała cisza.

- No cóż - powiedział Karim - tobie nie trzeba dużo, żeby spłacić dług twojego ojca. Wiem, co mówię. Wiele widziałem. Nikt nie pracuje tak dobrze i tak szybko jak ty. Wszystkie znaczki na twojej tabliczce znikną niczym śnieg w górach.

W ciemnościach dostrzegłam przez moment białe zęby Ikebala, tak jakby się uśmiechnął.

- Długu nigdy się nie spłaci - powiedział powoli - choćbyś nie wiem jak był dobry, zręczny i szybki.

- Jesteś nienormalny! - wykrzyknął Salman. - Mówisz tak, bo jesteś złośliwy, mówisz tak, żeby nas przestraszyć. Każdego dnia Hussain ściera jeden znaczek, a kiedy znikną wszystkie, wrócimy do domu. Nawet w cegielni tak było, co ty sobie myślisz?! Musieliśmy wyrobić tysiąc cegieł dziennie i za każde tysiąc cegieł dostawaliśmy sto rupii. Pracowała tam cała moja rodzina. Nawet moje siostry.

- I spłaciliście swój dług? - zapytał Ikebal.

- Nie - wymamrotał Salman - ale to o niczym nie świadczy, bo często padało, piaszczysta ziemia nie dawała się wyrabiać, niektóre cegły rozsypywały się zaraz po wyjęciu z pieca i pech...

- A widzieliście, żeby ktokolwiek kiedykolwiek spłacił swój dług? - przerwał mu Ikebal.

W ciemnościach czułam, jak Maria mocno przytula się do mnie. Czy słyszała i rozumiała, o czym rozmawialiśmy? Ja rozumiałam i było mi przykro, że ten oto, nowo przybyły, mówi nam takie rzeczy. Chciałam mu powiedzieć, że jest obłudnym kłamcą, ale mimo że go nie znałam, tak naprawdę nie wydawał mi się takim.

- Nie - przyznaliśmy wszyscy po kolei - nie, nie widzieliśmy nigdy, żeby ktoś spłacił dług.

- A jednak... - próbował bronić się Salman. W tym momencie Ali, który przysłuchiwał się wszystkiemu, stojąc na straży przy drzwiach, gwizdnął dwa razy przeciągle i zdecydowanie. Alarm. Przeczolęliśmy się do naszych posłań. Próbowałam zasnąć, ale bezskutecznie. Przekręcałam się z boku na bok. Po jakimś czasie powlokłam się tam znowu po zakurzonej posadzce. Ten nowy, Ikebal, też nie spał. Szukałam jego ucha, żeby nikt mnie nie usłyszał.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że nigdy nie uda nam się stąd odejść? - spytałam go rozzłoszczona. - Że już nigdy nie wrócimy do domu?

- A ty? Kim jesteś? - spytał. - Mam na imię Fatima. Milczał przez kilka sekund.

- Potrafisz dochować tajemnicy, Fatimo? - wyszeptał po chwili.

- Pewnie, że tak. Za kogo ty mnie masz?

- Tak więc mogę ci powiedzieć - zniżył jeszcze bardziej głos. - Wyjdziemy stąd, możesz być pewna.

- Ale powiedziałaś, że nie można spłacić długu - przypomniałam mu.

- To prawda, ale my odejdziemy inaczej.

- Jak? Wydaje mi się, że Hussain miał rację, nazywając cię panem Wszystkowiedzącym.

- Uciekniemy, oto jak. - Oszalałeś!

- Nie, nie oszalałem. Uciekniemy i ty uciekniesz ze mną.

Nie znałam go. Mógł być przecież zwykłym zarozumiałcem, albo może naprawdę był szalony. A jednak mu wierzyłam.

Wróciłam na swoje posłanie i przez resztę nocy wierciłam się niespokojnie. Cały czas dźwięczało mi w głowie to jedno słowo i nie mogłam go przepędzić. Było bardziej natrętne od końskiej muchy.

„Uciekniemy”.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez ponad miesiąc nie wydarzyło się nic nowego. Upał stawał się coraz bardziej nieznosny, a praca coraz cięższa. Hussain Khan krążył niespokojnie po hali warsztatu, wykręcając sobie ręce, wzywając nadaremnie imię Allacha i Proroka, na przemian wygrażając nam i pochlebając, głaszcząc przymilnie i uderzając w tył głowy, wszystkich po równo. Bardziej doświadczeni z nas wiedzieli dobrze, czym było spowodowane jego zachowanie: zbliżał się dzień przyjazdu klientów, najprawdopodobniej z zagranicy i Hussain obawiał się, czy aby dywany, nad którymi pracowaliśmy, będą wystarczająco piękne i doskonałe i czy spodobają się tym szanownym panom.

Mówił do nas: „moi mali”, „gołąbeczki” albo nawet „moje ukochane dzieci”, przypominał, że uchronił nas przed życiem w biedzie i głodzie i że tak naprawdę utrzymuje nas z własnych pieniędzy. Błagał, byśmy go nie zniszczyli - również dlatego, że jego zguba będzie i naszą zgubą - a potem straszył najokrutniejszymi karami.

I faktycznie, dobrze o tym wiedzieliśmy, że w okresie poprzedzającym przyjazd klientów bardzo łatwo było trafić do Lochu, nawet bez żadnego powodu. Wieczorem padaliśmy ze zmęczenia, palce krwawiły nam, poprzecinane nitkami. Karim z nas wszystkich najbardziej bał się gniewu Hussaina. Gdyby pryncypał go wyrzucił, cóż by ze sobą począł on, który nie miał już ani domu, ani rodziny, do której mógłby wrócić? Skończyłby w jakimś kącie *suku* zdany na łaskę i niełaskę wiernych. Dlatego też w ciągu dnia musieliśmy znosić i jego wybuchy gniewu, i groźby, że doniesie na nas Hussainowi, jeśli bodaj na chwilę podniesiemy głowy znad krosien.

Ale potem, w nocy, litował się nad widokiem naszych łez i pokaleczonych dłoni, podnosił się ze swojego polowego łóżka i mamroczał, że jesteśmy do niczego nieprzydatnymi mięczakami, zapalał słabe światło i ujmował nam z wielkiej blaszanej puszki, którą nie wiadomo skąd wytrzasnął, po trochu maści, żeby posmarować rany.

Nawet jeśli wielu z nas zostało ukaranych na skutek jego donosicielstwa, to po głębszym zastanowieniu muszę stwierdzić, że Karim nie był zły. Wszyscy znaliśmy jego sytuację: został oddany Hussainowi Khanowi, mając ledwie skończone siedem lat i od tego momentu całe jego życie toczyło się tu, w tym domu, który stał się i jego domem. Myślę, że nawet - w pewnym sensie - przywiązał się do Hussaina, mimo że tak samo jak my pracował, tak samo płakał i tak samo doświadczał Lochu. On nie był złym człowiekiem, on po prostu nie miał wyboru. Teraz, kiedy był już za duży, by móc nadal tkać dywany, obawiał się, że

zostanie wyrzucony jak para starych, dziurawych butów.

Nienawidziliśmy go, kiedy byliśmy przez niego karani, ale równocześnie rozumieliśmy, że pewnego dnia i my możemy podzielić jego los. Mimo że wówczas nie myśleliśmy często o przyszłości.

Jedynym, któremu była oszczędzona ta huśtawka grózb i pochlebstw, był Ikebal. Jemu rzadko Hussain zwracał uwagę, ale też nie pozwalał sobie na żadne fałszywe pochwały pod jego adresem. Zwykle przechodził obok krosna Ikebala, patrzył, na jakim etapie jest jego praca i milczał. Również Ikebal go ignorował: nie odrywał się od pracy, nie płakał, nie użalał się, nie wykorzystywał chwili, kiedy Hussain odwracał się do niego plecami, żeby prychnąć w jego kierunku lekceważąco lub wykonać jakiś obraźliwy gest.

- Widać, że łańcuch go zmiękczył - skomentował jeden z chłopców.

- Nie, nie - powiedział ktoś inny - to dlatego, że chce się stać pupilkiem pryncypała.

Ja jednak wiedziałam, że to nieprawda. A Ikebal, jak nikt inny, nie zwracał uwagi na te insynuacje i nie trudił się, żeby odpowiadać tym, którzy sobie z niego żartowali.

- Daj spokój - mówił jedynie.

My dzieci, powinniśmy byli nawzajem się wspierać, wiedząc, że dzielimy ten sam los i wiemy to samo życie, a tymczasem często kłóciliśmy się, dzieliliśmy się na grupy, starsi wykorzystywali młodszych, tak jakby to mogło zmienić nasze przeznaczenie i poprawić naszą sytuację.

Kiedyś, w samo południe, podczas przerwy obiadowej, kiedy odpoczywaliśmy na rozpalonym słońcem podwórzu, Karim zwrócił się do nas z tą swoją tajemniczą miną, którą robił, ilekroć chciał nam zdradzić jakiś sekret pryncypała.

- Musimy dobrze traktować naszego nowego przyjaciela - powiedział, wskazując na Ikebala.

- On jest wyjątkowy. Cenny. Słyszałem jak Hussain mówił tak do innego właściciela fabryki.

Natychmiast wszyscy zamienili się w słuch.

- A cóż w nim jest takiego bardzo wyjątkowego?

Karim odczekał chwilę, by cała uwaga skupiła się na nim. Najpierw zrobił gest, jakby chciał powiedzieć: „Ja to wiem, ale to tajemnica”. Potem rozejrzał się wokół, żeby upewnić się, że nikt poza nami go nie słucha. Wzruszył ramionami, splunął na ziemię, zniżył głos tak, że prawie nie było go słychać i wyszeptał:

- Dywan, ten, nad którym pracuje Ikebal, nie jest dywanem jak każdy inny. Nie, to błękitny Buchara<sup>11</sup>. Słyszeliście o tym kiedyś? W ciągu roku produkuje się najwyżej dwa lub

może trzy takie dywany. Hussain tak powiedział. Słyszałem na własne uszy. Taki dywan jest wart masę pieniędzy i nie może go wykonać byle kto. Do takiego dywanu trzeba prawdziwego artysty.

Przerwał, znowu splunął na ziemię.

- Tak więc, nasz przyjaciel jest artystą. Kto by pomyślał, co nie?

Piętnaście par oczu odwróciło się i spojrzało na Ikebala.

- To prawda? - spytali go.

Ikebal zrobił się czerwony jak ostra papryczka, którą przyprawia się pieczeń z barana.

- Nie wiem - wymamrotał.

- Oczywiście, że wie - znowu odezwał się Karim. - Wie, bo już kiedyś jeden taki zrobił. Tak powiedział Hussain. Tak właśnie powiedział.

- To prawda? To prawda? - pytali chórem.

- Miałem trzech innych właścicieli przed Hussainem Khanem - odpowiedział Ikebal - i owszem, dla jednego z nich utkałem taki dywan.

- I jak wyszedł?

- Nie wiem, skopiowałem wzór, który dostałem.

Przez chwilę milczeliśmy, zastanawiając się nad znaczeniem tych wiadomości.

- Ale skoro tak - po chwili odezwał się, wolno wymawiając słowa, chłopiec, który ze swoją rodziną uciekł z Indii i który trochę się jąkał - to dlaczego twoi poprzedni właściciele cię sprzedali?

- Tego nie wiem - wymamrotał znowu Ikebal. Był wyraźnie zakłopotany tą historią i wcale nie chciał, by Karim o tym opowiadał.

- A ty, Karimie, ty, który wiesz wszystko, czy wiesz dlaczego poprzedni właściciele sprzedali Ikebala, skoro jest tak dobry, jak mówisz?

Karim spojrzał na nas z wyższością.

- Wiem - odpowiedział - ale nie mogę wam tego powiedzieć. Hussain mi ufa i nie lubi, kiedy zdradzam jego tajemnice.

Rozległ się pomruk dezaprobaty, bo Karim puszył się jak paw. Wtedy się wkurzył. Po chwili, kiedy się już uspokoił, jakiś mały chłopiec o bardzo ciemnej karnacji, który przyjechał z południa i widział morze, zeskoczył z brzegu studni, gdzie dotychczas siedział i zbliżył się do nas.

- Ale skoro tak - powiedział - skoro tak, to Hussain umorzy ci dług. Jeśli ten dywan jest naprawdę tyle wart, umorzy twój dług.

Wszyscy zgodnie kiwnęliśmy głowami. Nie widzieliśmy jeszcze, żeby ktoś miał tyle

szczęścia.

- Możecie być tego pewni! - wykrzyknął Karim. - Gdybyście wiedzieli, jak Hussain Khan boi się, że Ikebal nie skończy na czas pracy albo, że nie wykona jej dobrze, albo że popełni jakiś błąd i w ten sposób dywan będzie do wyrzucenia. Umorzy mu dług. Wiecie, że Hussain jest panem sprawiedliwym i wielkodusznym.

O tym nie wszyscy byliśmy do końca przekonani. Ale wszyscy patrzyliśmy na Ikebala z różnymi uczuciami, prawie wszyscy z zazdrością: „temu się uda”.

- Nie umorzy mi długu - powiedział Ikebal powoli. - Poprzedni moi właściciele też tego nie uczynili. Nigdy nie spłacimy naszych długów.

Odezwał się chór protestów. Czymże są wobec tego nasze nadzieje, w imię czego pracujemy od świtu do nocy? A on, Ikebal, za kogo niby się uważa? W końcu przyjechał tutaj jako ostatni, jest w najlepszej sytuacji, jakim więc prawem kpi sobie z nas w ten sposób?

Również Salman i Ali, którzy brali udział w pierwszej nocnej rozmowie z Ikebałem, uważali, że kłamię, to przecież on był pewny, że się kiedyś wyzwoli.

- Jesteś kłamcą! - krzyknął Ali, prawie płacząc.

Salman trząsł się ze złości.

W następnych dniach wielu podejrzewało Ikebala o nieżyczliwość. Mówili, że jest zarozumiałcem i że stoi po stronie Hussaina, tak jak Karim.

Ja próbowałam go bronić, ale byłam tylko małą dziewczynką.

Stało się moim zwyczajem, że prawie co noc, zanim zasnęłam, przekradałam się do posłania Ikebala, żeby z nim trochę porozmawiać. Nie wierzyłam w te wszystkie zarzuty, które padały pod jego adresem, a poza tym dobrze by było, gdyby Hussain umorzył mu dług, cieszyłabym się wówczas jego szczęściem.

Leżeliśmy w ciemnościach, w odległości pół metra od siebie, wsłuchując się w odgłosy miasta: nigdy nieustający ruch, nocą był jedynie trochę spokojniejszy i przytłumiony, usłyszeliśmy nagły krzyk, ryk właściwie jakiegoś mężczyzny, który zlekceważył zakaz picia alkoholu oraz inne tajemnicze, chaotyczne dźwięki, których pochodzenia nie byliśmy w stanie określić. Urodziliśmy się na wsi i znaliśmy źródło wszystkich odgłosów przerywających tamtejszą ciszę nocną: to drapieżny ptak, to bawół, który urwał się z łańcucha, to znowu oszalały bezdomny pies, podążający czyimś tropem albo szelest jakiegoś niespokojnego ducha, którego ślady znajdowaliśmy następnego ranka na podrapanej korze drzew. Ale tak naprawdę nie baliśmy się nawet duchów, bo - choć były niewidzialne - należały do naszego świata.

Miasta natomiast nie znaliśmy. Widzieliśmy je jedynie przez kilka minut z okien



furgonetki, kiedy właściciel zabierał nas z naszych domów lub przy okazji innego przejazdu.

Zapamiętałam przede wszystkim ludzi - taką masę ludzi, jakiej nigdy dotychczas nie widziałam, biegających w jedną i w drugą stronę. Wydawało mi się, że tak naprawdę nikt nie wiedział, dokąd zmierza.

Ikebala natomiast zachwycił autobus - jeden z tych, jakie jeżdżą w Pakistanie - ogromny, kolorowy, z wieloma reflektorami, chromowanymi elementami i klaksonami wyjącymi niczym stado bawołów, dzięki którym torował sobie drogę w chaosie ulic. Ikebal widział autobus po raz pierwszy w życiu.

- Wiesz - powiedział - chciałbym móc wsiąść do takiego autobusu, zająć miejsce przy oknie i objechać w nim całe miasto dwa razy, żeby zobaczyć, dokąd podąża cała ta masa biegających ludzi.

- O nie - odpowiedziałam - lepiej byśmy poszli do kina. Chciałabym móc obejrzeć jeden z tych filmów, które czasami opowiada nam Karim. Są tam podobno wywieszane ogromne, kolorowe plakaty ze zdjęciami aktorów. Niektórzy są bardzo sławni i rozpoznawani na ulicy.

- Aktorzy nie spacerują po ulicy.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Czasem tak.

Innymi razy rozmawialiśmy o naszych rodzinach, o tym, co pozostało nam jeszcze we wspomnieniach i o tym, o czym już prawie zapomnieliśmy i nigdy już sobie nie przypomnimy. Ja nie pamiętałam w ogóle mojego taty i tylko jak przez mgłę, moją mamę. Ikebal natomiast pamiętał wszystko - nawet ustawienie przedmiotów w jego chacie i sposób, w jaki jego ojciec każdego ranka przed wschodem słońca schodził w dół do strumienia, żeby się umyć, a potem jak z mokrymi włosami szedł do obory.

Zwierzył mi się, że każdej nocy przed zaśnięciem przywoływał wszystkie swoje wspomnienia jedno po drugim, wytrwale, w obawie, by ich nie zapomnieć.

- Na co ci one? - spytałam.

- Pomagają mi - odpowiedział.

- W czym?

- W ucieczce stąd.

No właśnie. Nie wracałam nigdy więcej do tamtej rozmowy o ucieczce, żeby nie wprawiać go w zakłopotanie. Wiedziałam, że wtedy powiedział tak, by dodać sobie odwagi albo raczej, żeby zrobić wrażenie na nowych dzieciach, czy też po prostu dlatego, że lepiej się czuł, udając, że w to wierzy. Uważałam, że nie ma w tym nic złego.

A potem myślałam sobie: „Gdyby to mogła być prawda!”.

Ale żeby uciekać, trzeba mieć dokąd. A ja, cóż bym uczyniła, gdybym się znalazła daleko stąd, w jakimś obcym mieście, które budzi strach? Kto by się mną zajął w tym gąszczu odgłosów, których nawet nie potrafiłam nazwać? Wolałabym chyba, tak jak Karim, pozostać z Hussainem przez całe życie. Tyle że nie byłabym donosicielką.

Może właśnie dlatego, mimo usilnych starań każdego ranka, nie udawało mi się nawet musnąć palcami krawędzi okienka w toalecie - pewnie bałam się, że może mi się udać.

A poza tym, dlaczego miałby uciekać ktoś taki jak Ikebal, który już wkrótce miał być wolny w nagrodę za swoją dobrą pracę? To by było głupotą.

Dlatego nic mu nie odpowiedziałam. Trzy dni później, dokładnie wtedy, kiedy mieli przyjechać klienci z zagranicy, Ikebal, korzystając z przerwy na siusiu, TO zrobił.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

To był niezwykle poranek. Kiedy przyjeżdżali klienci z zagranicy, Hussain nie mógł nas źle traktować w ich obecności i musiał się starać, by sądzili, że jesteśmy szczęśliwi i zadowoleni.

- Oto moi podopieczni - mówił, rozdając pochlebstwa na prawo i na lewo. - Tutaj u mnie uczą się uczciwej pracy, która zapewni im lepszą przyszłość bez głodu i biedy. Istotnie, traktuję je jak własne dzieci.

Nie wiem, czy obcokrajowcy mu wierzyli, czy nie.

To dziwni ludzie. Na ogół są to elegancka ubrani mężczyźni o zimnych oczach, ale od czasu do czasu zjawiała się też z nimi jakaś kobieta, z odkrytym nogami i ramionami i z pachnącymi włosami, która przypatrywała się nam z uśmiechem i mówiła:

- Jakie piękne dzieci!

Nie wiem, czy znowu byliśmy tacy piękni.

Tak czy inaczej tamtego ranka dostaliśmy śniadanie bardziej obfite niż zwykle i już ten fakt wprowadził nas w dobry nastrój. Mogliśmy śmiać się i rozmawiać, czekając w kolejce, by przejść za brudną zasłonkę ubikacji - „Bramę do raju”, jak nazwał ją jakiś niewierzący.

„Kapuściane głowy” już załatwiły swoje potrzeby. W tym dniu, ze względu na obecność obcokrajowców, nie przykuto ich nawet łańcuchami. A my popychając się, czekaliśmy na swoją kolejkę.

- Grzecznie, dzieci, grzecznie! - krzyczała żona pryncypała, ale nie brzmiało to tak groźnie jak zwykle.

Również Hussain, który zazwyczaj pojawiał się z zaspaną twarzą dopiero późnym rankiem, poprawiając sobie spodnie, tym razem był już na nogach, podniecony, pocąc się i rozmawiając bez przerwy.

Karim był sparaliżowany myślą, że coś może się nie udać i że Hussain będzie miał o to do niego pretensje.

Dywany, które tkaliśmy do tej pory, były gotowe w magazynie, a te, nad którymi pracowaliśmy teraz, stanowiły ładną ekspozycję na krosnach. Krótko mówiąc, panowała prawie odświętna atmosfera.

W oczekiwaniu na moją kolejkę, z małą Marią uczepioną mojej spódnicy, próbując obronić się Przed kuksańcami Alego i uszczyptnięciami Salmana. doświadczyłam nagle

dziwnego uczucia wewnątrz, coś jakby wiatr w piersiach: byłam pewna, że tego ranka podskoczę bardzo wysoko - jakbym leciała - i po raz pierwszy uda mi się chwycić krawędzi okienka nad ubikacją.

Oczywiście nikt nie mógł przeczuwać tego, co się miało wydarzyć. Ikebal nie czekał z nami w kolejce, stał przy swoim krośnie, ale nikt na to nie zwracał uwagi.

Tak jak już wspominałam, w tych dniach wszyscy próbowali go unikać, bo mu zazdrościli, a i on trzymał się na osobności, jakby pochłonięty poważnymi myślami.

Poza tym, Hussain już jakiś czas temu zdjął mu łańcuchy i to również było postrzegane jako przejaw szczególnego traktowania.

Tamtego ranka nie poszłam do łazienki i nie dotknęłam ramy mojego okienka, z którego widać było gałąź migdałowca.

To dziwne jak jasno i precyzyjnie pamięta się niektóre szczegóły nawet po latach, jakby miały miejsce wczoraj, a nie tak dawno temu.

Ciągle mam tę scenę przed oczyma i nadal na samą myśl o niej mocniej bije mi serce. Pamiętam Hussaina, który przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż naszej kolejki, podekscytowany i nerwowy. Pamiętam, że nagle stanął jak wryty, przestał wymachiwać rękoma i pobladł na twarzy. Patrzył na coś za naszymi plecami. Pamiętam jego wytrzeszczone oczy i usta, które otwierały się powoli, odsłaniając poczerńiałe od tytoniu zęby. Odwróciliśmy się wszyscy naraz, jakby chwyciła nas jakaś wielka ręka i zmusiła, byśmy odkręcili głowy. Nigdy w życiu nie zapomnę tej sceny.

Ikebal stał obok swojego miejsca pracy. Za nim znajdował się dywan. Ten wspaniały dywan w kolorze niespotykanego błękitu, ze skomplikowanym kwiecistym wzorem. Był doskonały. Ikebal ukończył z niego prawie jedną trzecią. Pracował lepiej i szybciej, niż potrafiłby ktokolwiek inny. Obcokrajowcy oszaleliby na punkcie takiego dywanu.

Też był blady, ale nie aż tak jak Hussain Khan. Wziął nóż, który używaliśmy do obcinania supełków, uniósł go nad głowę, popatrzył na nas wszystkich po kolei, odwrócił się ze spokojem i przeciął dywan z góry na dół, dokładnie na pół.

„Nie!” - pomyślałam. „Nie rób tego!”

W ciszy, która zapanowała w warsztacie, słyszeliśmy wyraźnie odgłos rozcinanych nitek.

Hussain Khan ryknął jak ugodzone zwierzę. Jego żona krzyknęła. Karim też wrzasnął, bo zawsze robił to samo co właściciele. Widzieliśmy, jak biegli przez warsztat, unosząc tumany kurzu i strzępy wełny, popychając się nawzajem, potykając, przeklinając i bluźniąc, tak jak nigdy nie powinni bluźnić prawdziwi wyznawcy wiary, ale biegli powoli, jak to bywa

w snach, że biegniesz, biegniesz i nigdy nie dobiegasz do celu.

Zanim zdolali złapać i rozbroić Ikebala, zdążył on jeszcze dwukrotnie użyć noża i teraz najpiękniejszy dywan świata był jedynie stertą brudnej wełny, leżącą na pokrytej czerwonym kurzem ziemi.

Potem zapanowała cisza i wydawało się, że będzie trwać wiecznie. Instynktownie ścieśniliśmy się razem w kącie hali, tak jak byśmy się chcieli lepiej ochronić.

Hussain Khan stał przed Ikebalem, patrząc na niego z góry. Był czerwony na twarzy, a żyły na szyi tak mu nabrzmiały, jakby miały pęknąć. W rękę ścisnął nóż, który odebrał Ikebalowi i przez moment przerażeni pomyśleliśmy: „Zabije go”.

Jego żona, szlochając, zbierała kawałki dywanu i otrzepywała je z czerwonego kurzu, tak jakby jakimś cudem było możliwe złożyć je ponownie w całość.

Karim złapał się za głowę, zrozpaczony, mimo że dywan przecież wcale nie należał do niego.

- Przeklęty! - syknął Hussain. - Przeklęty! Mówili mi, że jesteś buntownikiem, zdrajcą. Mówili mi:

- Hussainie, nie ufaj mu! To żmija. Jadowity wąż.

Niewdzięcznik.

A ja, głupi i ślepy, co ja sobie myślałem? Zapłacisz mi za to, zobaczysz jak mi zapłacisz!

- Do Lochu! - zawodziła żona Hussaina. - Wrzuć go do Lochu i nigdy więcej nie wypuść!

Pochwycili go za ramiona i wywlekli na korytarz.

Poszliśmy za nimi jak gromadka przestraszonych piskląt. Zatrzymaliśmy się w drzwiach. Widzieliśmy, jak Ikebal zdierał kolana na bruku, jak uderzył ramieniem o krawędź studni. Hussain zatrzymał się przed ukrytymi w głębi podwórza zardzewiałymi żelaznymi drzwiami, z trudem ruszył je na skorodowanych zawiasach.

Widzieliśmy, jak znika w ciemnościach, schodząc w dół po schodach i szarpiąc Ikebala, a potem usłyszeliśmy ten straszny, przerażający huk, który śnił nam się po nocach. Huk wieka Lochu, które zostało uniesione, a potem opadło. Łomot ten długo jeszcze brzmiał w dusznym powietrzu podwórza.

Nie można było oddychać. Nie było wiatru. Nawet nie poruszał się kurz. Tylko gzy nie przestawały nas kąsać po nogach, ale nikt nawet nie miał ochoty ich przegonić.

Hussain Khan wychodził powoli z podziemi. Słyszeliśmy jego ciężkie kroki na schodkach, jeden po drugim. Kiedy wyszedł na słońce, zmrużył oczy. Zamknął żelazne drzwi

jednym kopniakiem i udał się w naszym kierunku. Staliśmy nadal jak wryci w drzwiach warsztatu. - Do roboty! - warknął. Wróciliśmy do krosien. Zabraliśmy się do pracy. Wszyscy jednocześnie. Ten sam ruch. Ten sam dźwięk.

Stuk, stuk, stuk...

Hussain stał za nami w milczeniu. Czuliśmy jego wzrok utkwiony w naszych plecach. To już nie był świąteczny dzień. Stuk, stuk, stuk...

Ali, który pracował po mojej prawej stronie, zdołał na ułamek sekundy odwrócić się w moim kierunku. Ruchem warg sformułował nieme pytanie:

- Dlaczego on to zrobił? - Nie wiem - odpowiedziałam szybkim gestem.

Kiedy Ikebala wleczono po bruku podwórza, na chwilę zanim zniknął na schodach prowadzących do Lochu, odwrócił do tyłu głowę i spojrzał na mnie. Właśnie na mnie, jestem tego pewna. Patrzył długo, aż do momentu, kiedy rozplynął się w ciemnościach. Chciał mi coś powiedzieć. Może chciał wyjaśnić, dlaczego to zrobił, dlaczego postawił się Hussainowi w tak szalony sposób.

Nie byłem pewna, czy zrozumiałam. Ale jedna rzecz stała się dla mnie oczywista: Ikebal bał się wtedy jak my wszyscy. A jednak to zrobił.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Loch - była to stara cysterna zakopana pod podwórzem, zamykana okratowanym włazem wychodzącym na wilgotne i śliskie schody, które prowadziły w górę ku żelaznym drzwiom. Ci, którzy tam bywali, zapewniali, że na dole jest całkiem ciemno i że dopiero późnym popołudniem przez szpary w zardzewiałych drzwiach docierają z trudem pojedyncze promienie słoneczne. I że zupełnie nie ma czym oddychać, że się człowiek po prostu dusi.

- Nie możesz zaczerpnąć powietrza - powiedział nam Salman, który trafił tam kilka miesięcy temu za to, że biegnąc, potracił i rozbił dzbanek malowany w żółte i niebieskie kwiatki, w którym właścicielka przynosiła nam picie co rano. - Czujesz, że się dusisz i myślisz, że zwariujesz. Kiedy zaczyna ci brakować tchu, wydaje ci się, że ktoś cię złapał za gardło i ściska. A potem nastaje ciemność. Oprócz tego, że ogarniają cię ciemności, widzisz też różne dziwne kształty i barwy, ale to ci nie pomaga, przeciwnie, jeszcze bardziej się boisz. Znam takiego jednego, który po wyjściu zwariował i nikt go nie mógł poznać.

- A poza tym są tam pająki - odezwał się ktoś inny - chłopiec, który pochodził z gór i dlatego mówił w dziwny sposób. - Taaakie wielkie - pokazał swoją dłoń - i skorpiony. Skorpiony są odrażające. Żądła i są jadowite. Są też zaskrońce.

Wcale nie ma zaskrońców - powiedział Salman pogardliwie. - Tam nawet nie ma wody.

- Oczywiście, że są - upierał się chłopak z gór - widziałem je.

- Ty nigdy nie byłeś w Lochu - uciszył go Salman. - Lepiej zamilknij.

Nikt z nas nie spał tej nocy, mimo zmęczenia i głodu, jako że Hussain kazał nam pracować o godzinę dłużej, nawet po zachodzie słońca i nie dostaliśmy kolacji. Klienci przyjechali, ledwo na nas spojrzeli, załadowali dywany na samochody i odjechali.

Hussain Khan robił z pewnością dobre interesy. Zwykle po wizycie obcokrajowców świętował z żoną do późnej nocy, słychać było głośną muzykę z radia i z urządzenia, które - jak nam wyjaśnił Karim - nazywa się gramofonem. Ale to nie była nasza muzyka, taka, jaką zwykle słyszeliśmy na targu, kiedy ludzie z wioski spotykali się, żeby sprzedać swoje bydło. To była dziwna muzyka, hałaśliwa i nie rozumieliśmy słów piosenek.

- To muzyka zagraniczna, pochodząca z bardzo daleka - powiedział nam Karim z przemądrzałą miną.

Ale tym razem dom właścicieli był ciemny i milczący, jakby złowrogi.

- Zapłacicie za to - powiedział Hussain przed pójściem spać. - Wszyscy zapłacicie za

to, co zrobił wasz kolega. Bo wszyscy go popieraliście. Jestem tego pewien.

Tylko garstka tych bardziej głupich i przestraszonych próbowała się bronić i mówić, że nie. że nie mieli nic z tym wspólnego. Ale uciszylismy ich uszczyplęciami. Tym razem nikt nie był przeciwko Ikebalowi.

- Jest za gorąco - wyszeptalam. - Jak uda mu się przeżyć tam, pod ziemią?

- Będzie jak w piekle - wymamrotał Salman - może gorzej. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś był w Lochu w pełni lata. A wy?

Wszyscy pokręcili głowami. Słońce było niemiłosierne tego popołudnia, byliśmy cali zlni potem. Nawet teraz, nocą, mieliśmy rozgrzane głowy, jakbyśmy mieli wysoką gorączkę.

- Nikt nie może wyjść żywy z Lochu w pełni lata - powiedział ktoś w ciemnościach.

„Bądźcie cicho! Bądźcie cicho!” - chciałam krzyknąć.

Obok mnie Maria i Ali trzęśli się ze strachu.

- Znałem jednego, który wyszedł z Lochu latem - powiedział Karim tym swoim niskim głosem prawie dorosłego mężczyzny. - Hussain trzymał go tam przez pięć dni. To było wiele lat temu. Byłem wtedy mały, ale dobrze to pamiętam. Chłopak był starszy ode mnie, nie wiem, skąd pochodził. Brakowało mu jednego ucha i miał jakiś nieludzki wyraz twarzy. Wyglądał jak beżpański pies. Baliśmy się go.

- A co przeskrobał? - zapytaliśmy.

- Nie chciał pracować, ot co. I wtedy Hussain go wychłostał. Ależ go wychłostał, gdybyście to widzieli! A on nawet nie pisnął. Zupełnie jak pies.

- A potem?

- Nadal nie zabierał się do pracy. I kiedy Hussain zbliżył się do niego po raz drugi z batem w rękę, by go zlać, wyobraźcie sobie, on go ugryzł! Chwycił go zębami za ramię i nie chciał puścić! - Karim splunął na ziemię. - Zupełnie jak pies.

- I wtedy Hussain wtrącił go do Lochu?

- Na pięć dni!

- I wyszedł?

- Jasne, że wyszedł. Wynieśli go na ramionach. Wyglądał, jakby nie żył. Ale żył. Był cały jakby wypalony przez upał, schodziła mu skóra. Przez tydzień leżał nieruchomo na swoim posłaniu. Kładliśmy mu na twarz mokrą szmatę. Potem wstał i zaczął pracować. No i co? Nie warto było tak od razu? Tak czy inaczej już nigdy nie był sobą. Nadal wyglądał jak pies, ale taki, który zawsze podwija pod siebie ogon.

- Ikebal nie będzie taki! - krzyknęłam.

- Złamie się i on - powiedział Karim. - Co ty sobie myślisz? Wcale nie jest taki



wyjątkowy. Owszem, zawsze buntował się przeciwko wszystkim swoim właścicielom. Słyszałem, jak Hussain tak mówił. Dlatego zawsze go sprzedawano, mimo że jest taki zdolny. Ale Hussain, już on wie, jak z takim postępować.

- Ikebal się nie złamie - powiedziałam z naciskiem - i musimy mu w tym pomóc.

Kilka osób cicho przytaknęło. - Pomóc mu? - wymamrotał Karim. - Jak na razie przepadła nam przez niego kolacja.

- Milcz, ty i tak się najadłeś - odburknął Salman. - Ja schowałem trochę chleba.

- A ja trochę wody - powiedziałam. - Idziemy.

- Zwariowaliście! - krzyknął Karim. - Zabraniam wam... Jeśli Hussain was złapie, będzie miał do mnie pretensje...

- Cicho bądź! - powiedział zdecydowanie Salman.

Prześlizgnęliśmy się aż pod drzwi warsztatu. Każdej nocy Hussain zamykał je na starą zasuwę, przekręcając trzy razy kluczem. Według mnie zbędna to była ostrożność. Gdzież moglibyśmy uciec? Ale teraz nie wiedzieliśmy jak wyjść.

- On ma klucze - powiedział Salman wskazując na Karima. - Otwieraj, szybko!

- Nie ma mowy!

- Zrobimy tak: otworzysz nam i pójdziesz z nami. Jeśli Hussain nas złapie, powiesz, że próbowaliśmy uciec i że poszedłeś za nami, żeby nas schwytać. Ale jeśli nam nie pomożesz, daję słowo...

Karim, choć najstarszy, był chłopcem szczupłym, delikatnym i niezbyt odważnym. Salman natomiast był silny jak byk i budził we wszystkich lęk.

Karim podrapał się w głowę, rozejrzał się wokół, jakby szukał dla siebie poparcia, a nie znalazłszy, splunął na ziemię i powiedział:

- A niech was...

Poszukał w przepastnych kieszeniach swoich spodni wielkiego żelaznego klucza, pociągnął nosem, trochę jeszcze zamarudził i wreszcie otworzył.

\* \* \*

Właśnie minęła północ, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz. Nie świecił księżyc, niebo było czarne i bezchmurne, jako że latem w moim kraju chmury są rzadkością. Ledwie czuć było leciutki podmuch wiatru, delikatnie poruszający liście drzew. Na chwilę zatrzymaliśmy się w progu, żeby obetrzeć pot z twarzy.

„Jak tam może być pod ziemią?” - pomyślałam. Ze strachu przeszły mi ciarki.

Posuwaliśmy się na czworakach aż do krawędzi studni - ja, Salman i mały Ali, który

uparł się, żeby iść z nami. Dom Hussaina był ciemny i złowrogi.

Wiedzieliśmy, że pryncypał zawsze śpi głębokim snem jak suseł, czasem nawet w nocy dolatywało do nas jego głośne chrapanie niczym pomruki pioruna. Ale jego żona słyszała każdy dźwięk, nawet najmniejszy szelest, nawet uderzenie skrzydeł nocnego ptaka. Widzieliśmy kilka razy, jak kręciła się w ciemnościach, w szlafroku, mamrocząc coś pod nosem z groźną miną i przeszukując zakamarki podwórza.

A jak nas nakryją?

Od krawędzi studni dwoma susami przedostaliśmy się do zacienienia tworzonego przez furgonetkę Hussaina. Czuć było smród benzyny i spalonego oleju. Ale stamtąd, aż do żelaznych drzwi Lochu, trzeba było pokonać długi odcinek nieosłoniętego podwórza, tuż pod oknami domu. Wydawało mi się, że niemożliwością jest, aby udało nam się go przejść, nie budząc właścicielki. Byłam przekonana, że właśnie teraz, chowa się tam, za zasłonką niczym drapieżne zwierzę, czekając tylko na nasz pierwszy krok.

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, pomyślałam: „A może lepiej zawrócić?”. Ale natychmiast zrobiło mi się wstyd. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na krostowatą twarz Salmana. Być może myślał o tym samym, lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że teraz jego kolej.

Ja przecież jestem dziewczyną, czyż nie? A Ali był za mały.

- Idę - wyszeptał, przełknąwszy trzy razy ślinę. Zaczął sunąć na czworakach, oparty na łokciach, ściskając w zębach zawiniątko z chlebem. Posuwał się wolno, do licha, jak bardzo wolno, a przy tym miał tak ogromną pupę wypiętą ku górze, że nawet w ciemnościach był widoczny na kilometr. Na domiar złego nieustannie poruszał kamienie na bruku, robiąc przy tym okropny hałas i... zniknął w mroku. W krótkich chwilach ciszy, między jednym chrapaniem a drugim, usłyszeliśmy jeszcze kilka razy szuranie, a potem delikatny gwizd.

- Idź - powiedziałam Alemu.

Pobiegł szybko i lekko jak kotek, za chwilę już go nie było.

Następny gwizd.

„No dobra, twoja kolej” - pomyślałam.

Wyszłam z ukrycia, czując się słaba i bezbronna. Musiałam się czołgać trzymając w jednej ręce butelkę z wodą, która mogła się rozlać przy każdym ruchu. Dwa metry, może trzy... Było tam mnóstwo ostrych kamieni, które kaleczyły mi kolana. Nieprzeniknione ciemności. Wszystko robiło zbyt wiele hałasu: moje ubranie, które szurało po ziemi, uderzenia mojego serca, które odbijały się echem w ciemnościach, mój oddech, który stawał się coraz cięższy.

Znalazłam się dokładnie pod oknem sypialni. Przyłgnęłam jak najmocniej do ziemi, z uniesioną tylko prawą ręką, by móc trzymać butelkę z wodą. Już nie dawałam rady. Jeśliby mnie teraz złapali, trafiłabym i ja do Lochu, pomiędzy skorpiony i zaskrońce, bo byłam jednak przekonana, że one tam są. Łatwo Salmanowi mówić...

Wpadłam na Salmana i Alego, którzy czekali na mnie, siedząc oparci plecami o żelazne drzwi.

- Ale długo!

- Ty za to byłeś szybki!

- Gdzie Karim? Rozejrzeliśmy się wokół.

- Karim! - próbowaliśmy zawołać go szeptem. - Karim!

I oto nadchodził. Zobaczyliśmy jego postać ubraną na białą, wysoką i chudą wylaniającą się powoli z ciemności niczym zjawa. Szedł normalnie, powoli i spokojnie, z rękoma w kieszeniach spodni. Brakowało tylko, żeby zaczął pogwizdywać. Wyglądał, jakby się przechadzał po ogrodach sułtańskich. Doszedł do nas i spojrzał zdziwiony.

- Powiem wam, że wcale nie trzeba było tak się ceregielić.

- Schowaj się, idioto!

Żelazne drzwi były mocne i ciężkie, chwasty obrosły zardzewiałe zawiasy. Pociągnęliśmy drzwi, ale prawie nie drgnęły.

- Mocniej, no, dawaj!

Ruszyły się na kilka centymetrów, potem uchyliły na szerokość dłoni i poczuliśmy dochodzący z dołu wilgotny i ciężki smród Lochu.

- Mocniej!

Drzwi otworzyły się wreszcie z przeraźliwym piskiem, który przedarł ciszę nocy.

- Prędko!

Nagle zapaliło się światło.

Zamarliśmy nieruchomi, sparaliżowani, niczym drapieżne zwierzęta zaskoczone przez myśliwego. Czułam jak drżały mi nogi, niepewne czy zostać, czy rzucić się raczej do rozpaczliwej ucieczki.

„Uciekaj!” - podpowiadał mi jakiś wewnętrzny głos. „Uciekaj!”

Ręka Salmana przytrzymała mnie za ramię.

- Nie ruszaj się! - syknął.

Otworzyło się okno w sypialni. Snop światła zalał podwórze przed domem. Właścicielka wychyliła głowę, rozejrzała się wokół. Musiała nas zobaczyć, niemożliwe, żeby nas nie dostrzegła.

- Słyszałam jakiś hałas, mówię ci, nie śniło mi się. To na pewno te przeklęte dzieciaki.

Z głębi pokoju dobiegł niezrozumiały pomruk.

- Ty nawet nie usłyszałbyś wybuchów armatnich! Idę sprawdzić.

Następny pomruk. Dłuższy i zniecierpliwiony.

Kobieta wychyliła się jeszcze mocniej, wystawiając za parapet cały biust i spojrzała w naszym kierunku kaprawymi oczyma. Byliśmy tam, w odległości dwudziestu metrów, widoczni jak rój świetlików ciemną nocą. Czułam na sobie jej spojrzenie.

A jednak nas nie zobaczyła. Nie wiem dlaczego - Spojrzała jeszcze badawczo w jedną i w drugą stronę, coś mruknęła pod nosem, zamknęła z rumorem okno i zgasiła światło.

Czekaliśmy. Czekaliśmy i czas ten wydał mi się wiecznością. Powoli walenie naszych serc uspokajało się, a chrapanie Hussaina Khana dodawało nam otuchy.

Zeszliśmy gęsiego po stromych i śliskich schodach. Powietrze stawało się coraz cięższe. Coraz trudniej było nam oddychać. Znowu byliśmy cali mokrzy od potu. Musieliśmy poruszać się po omacku, próbując trzymać się lepkiej, pokrytej mchem ściany. Usłyszeliśmy dźwięk metalu pod stopami. Był to okratowany właz do Lochu.

- Ikebal! - spróbowałam zawołać cicho. - Ikebal!

Karim wydobył z czeluści swoich spodni pudełko zapalek. W świetle niepewnego płomienia dostrzegliśmy Ikebala. Podniósł się z trudem z kąta, w którym był skulony i podszedł w naszym kierunku. Usta miał popękane z pragnienia, a oczy tak wrażliwe, że nawet dokuczało mu światło zapalki.

Cysterna, pełniąca funkcję Lochu, była szeroka, ale niska, tak że wstając, końcami palców można było dosięgnąć kraty włazu. Podałam Ikebalowi butelkę wody. Wypił trochę chciwie, a resztę wylał na swoją umęczoną twarz.

Jakie to dziwne. Gardło miał zbyt zaschnięte, by móc mówić, a my teraz, mielibyśmy do niego tysiące pytań. Nie wiedzieliśmy, co mu powiedzieć.

Byłam wzruszona i zakłopotana. Serce ścisnęło mi się z żalu, widząc go w takim stanie. A był to przecież dopiero pierwszy dzień! Salman był speszony. Karim miał minę, jakby znalazł się tam przypadkiem i nie była to jego sprawa...

Ali wyciągnął rękę przez kratę i uścisnął dłoń Ikebala.

- Wytrzymaj - powiedział mu. - Teraz już nie jesteś sam.

- Tak - dodałam. - Będziemy tu wracać każdej nocy.

- Cóż - powiedział Salman - muszę ci przyznać, że jesteś dzielny.

- Absolutnie tu więcej nie wrócimy - zaprotestował Karim. - Przynajmniej ja nie chcę ryzykować!

- Dzięki, przyjaciele - zaskrzeczał Ikebal ochryłym głosem.  
Oczywiście wracaliśmy każdej nocy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ikebal wyszedł z Lochu trzy dni później. Kiedy go zobaczyliśmy, jak przechodził przez podwórze, ledwo trzymając się na nogach, oślepiony nadmiarem światła, z rękoma pogryzionymi przez owady i w pęcherzach, wszyscy bardzo mu współczuliśmy, a równocześnie byliśmy z niego dumni. Chcieliśmy krzyknąć, bić brawo, świętować, ale surowe spojrzenia Hussaina, skłoniły nas do zachowania rozsądnego milczenia. Pryncypał pozwolił Ikebalowi odpoczywać przez jeden dzień i jedną noc, a i my powstrzymaliśmy naszą ciekawość, szanując jego niespokojny sen. Ustanawialiśmy dyżury, żeby przy nim czuwać i ulżyć jego cierpieniu, nacierając go zimną mokrą gąbką. Stwierdziliśmy z ulgą że dzięki naszym nocnym wizytom, jedzeniu, wodzie i pomarańczom, które Ali podkradał z ogrodu, Ikebal szybko wracał do zdrowia.

- Bracie - powiedział mu Salman, kiedy Ikebal w końcu podniósł się i dołączył do nas na śniadaniu - byłeś dzielny, naprawdę. Nikt nigdy nie miał tyle odwagi, żeby w podobny sposób postawić się Hussainowi Khanowi. Wiesz, jak nadal wkurza go historia tego dywanu? Ale byłeś też głupi, bo cóż zyskałeś swym buntem? Trzy dni w Lochu, ot co.

- Wy też ryzykowaliście, wychodząc w nocy i pomagając mi - odparł Ikebal. - Gdyby Hussain was nakrył, cóż byście zyskali?

- Ale jakie to ma znaczenie? - zapytał Salman. - My to zrobiliśmy dla ciebie.

- Zgoda - przytaknął Ikebal - ale ja też to zrobiłem dla was. W pewnym sensie bardziej dla Was niż dla siebie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że to nie jest sprawiedliwe, że musimy tak żyć. Chcę powiedzieć, że musimy wrócić do naszych rodzin, a nie w nieskończoność pracować tu, przykuci do krosien jak niewolnicy.

- Ja też chciałbym wrócić do domu - powiedział Salman - ale to niemożliwe.

- Dlaczego niemożliwe?

- Bo, bo... bo pryncypał jest silniejszy od nas! - wybuchnął Salman. - Bo tak było od zawsze. Bo nikt się nami nie interesuje.

- Znajdziemy kogoś, kto nam pomoże. Gdzieś w świecie jest ktoś taki.

Patrzyliśmy wszyscy na niego zdziwieni.

- Gdzieś w świecie? Ale co masz na myśli?

- Nie wiem - powiedział Ikebal.

- Chyba się przegrzałeś w tym Lochu, bracie - zakpił Salman, potrząsając głową. - Tu wszyscy za bardzo się boją.

- To nieprawda - roześmiał się Ikebal. - Przecież ty już się nie boisz. I Fatima też nie. I nawet Ali nie.

- Ja się nie boję nikogo! - zapewnił Ali, chowając się za swoją spódnicą.

- Nawet Karim już mniej się boi niż kiedyś. nie?

- Nie wciągajcie mnie w wasze głupie rozmowy - syknął Karim. - A tak w ogóle, to ja się nie boję zupełnie niczego.

- Nawet Hussaina?

- Ja się go nie boję - zapewnił Karim. - Ja go szanuję. To jest różnica.

- Pewnie!

- Według mnie inni też się mniej boją - powiedział Ikebal.

- Do szeregu! Do szeregu! - wrzasnął Karim, dostrzegłszy dobrze znaną sylwetkę właścicielki, która przechodziła przez podwórze.

\* \* \*

Przez następny miesiąc wszystko było jak dawniej, przynajmniej pozornie. Każdy dzień mijał tak samo, lato stawało się mniej dokuczliwe, od czasu do czasu jakaś błyskawica rozdzierała nocne niebo, rozświetlając je na małą chwilkę i przypominając nam, że zbliża się pora deszczowa. Pewnego wieczoru jeden ze starszych chłopców wyszedł razem z pryncypałem i nigdy już więcej nie wrócił. Być może Hussain komuś go odsprzedał, kto wie. Przywykliśmy, że ciągle wokół nas zmieniały się twarze, jak również nauczyliśmy się nadmiernie tego nie przeżywać. A chociaż nie pokazywać tego po sobie.

Na jego miejsce przybył nowy chłopiec - bardzo wysoki i bardzo chudy, z wystającymi łopatkami i żebrami, które można było z łatwością policzyć.

Natychmiast przewzaliśmy go Patyk. Już po dwóch dniach coś sobie zrobił w rękę. Hussain musiał mu ją obandażować i pozwolić odpocząć od tkania, lamentując przy tym pod niebiosa, jakież to nieszczęście go spotkało, że tak niefortunnie zainwestował. By nie mógł próżnować. Patyk został wyposażony w miotłę i wyznaczony do generalnego sprzątnięcia warsztatu, podwórza i czasami również domu właścicieli.

Całymi dniami chodził tam i z powrotem, z ręką na temblaku, ale tak naprawdę więcej unosił kurzu, niż sprzątał. Momentalnie stał się doręczycielem naszych poufnych informacji.

Poza tym atak czerwonki sprawił, że musieliśmy odwiedzać znacznie częściej niż zwykle zakątek za zasłonką.

Właściwie więc nie działo się nic nadzwyczajnego.

A jednak, kiedy teraz wracam myślami do tego okresu, to widzę, że coś było inaczej, nawet jeśli wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. To trudne do wytłumaczenia. Jakby zmieniła się atmosfera w warsztacie. Niby pracowaliśmy jak zwykle. Znosiliśmy prześladowania Hussaina jak zwykle. Każdego wieczoru patrzyliśmy, jak pryncypał ścierał szmatką po jednym znaczku z naszych tabliczek, a i tak zostawało ich zawsze tyle samo, zawsze za dużo, jak zwykle...

A jednak... Nikt już nie poświęcał się pracy tak jak dawniej; po przerwie obiadowej wracaliśmy do hali warsztatu możliwie jak najwolniej, powłócząc nogami i mamrocząc pod nosem; podczas ciągnących się w nieskończoność godzin popołudniowych zdarzało się, że odrywaliśmy się od pracy, zaczynaliśmy rozmawiać a nawet śmiać się, a krzyki i groźby Hussaina Khana przywracały pozorny spokój dopiero po kilku minutach.

Patyk kręcił się to tu, to tam, unosząc tumany kurzu i zwiększając ogólne zamieszanie.

Pewnego dnia krosno Mohammada, jękającego się chłopca z gór, pękło i - mimo że pryncypał był przekonany, że był to prawdziwy i faktyczny sabotaż - nie znalazł żadnego dowodu, by oskarżyć Mohammada i wtrącić go na siedem dni do Lochu. Przy innym krośnie z kolei poplątały się nitki i trzeba było wielu godzin, zanim nadawało się ono znowu do pracy.

Ikebal powrócił do warsztatu spokojny. Pryncypał kazał mu od nowa zacząć tkąć dywan, który zniszczył i Ikebal oddał się tej pracy z powagą i dokładnością. Był jak zwykle zręczny i szybki, tak jakby nic się nie wydarzyło. Hussain Khan pilnował go nieprzerwanie, nie pokazując jednak tego po sobie. Kręcił się po warsztacie ze srogą miną, z rękoma splecionymi na plecach i tylko od czasu do czasu odwracał się gwałtownie, żeby zobaczyć, co robi Ikebal. Wydawało się, że pryncypał był bardzo zdenerwowany, niemalże sprawiał wrażenie, że to teraz on się boi. I im dłuższy był dywan Ikebala, tym Hussain stawał się bardziej nerwowy i gniewny. Do Ikebala nie odzywał się ani słowem, nigdy też nie zwracał mu uwagi.

Ogólnie rzecz biorąc, panowała dziwna atmosfera.

- Hussain obawia się, że znowu zniszczę dywan - wyjaśnił nam Ikebal. - Byłaby to dla niego poważna strata.

- Ale ty nie zrobisz podobnego głupstwa, prawda? - spytałam go zaniepokojona.

- O nie, nawet o tym nie myślę - uspokoił mnie.

W tym czasie nasze nocne spotkania odbywały się regularnie. Już nawet nie czekaliśmy, żeby zgasły światła w domu pryncypała. Jak tylko Hussain zamknął starą zasuwę i usłyszeliśmy jego kroki na podwórzu, wymykaliśmy się z naszych legowisk i siadaliśmy w



kręgu. Do naszej grupki przyłączył się Patyk, który był dziwny i zabawny, a czasem jeszcze jakieś inne dziecko.

- Powinniśmy wszyscy uciec - zaproponował Patyk. - Wiesz, jaką minę zrobiłby Hussain? Ja już tego po prostu nie wytrzymuję, jest chyba gorzej niż tam, gdzie byłem poprzednio. Stworzylibyśmy bandę rabusiów i napadalibyśmy na ciężarówki, które przyjeżdżają do miasta.

- Dlaczego akurat na ciężarówki?

- Bo tam jest mnóstwo jedzenia.

- Aj, daj spokój! - zaproponował Mohammad, jękając się jak zwykle. - Lepiej uciekliśmy w góry, w moje strony. Tam Hussain nigdy by nas nie odnalazł.

- Akurat! A ciebie to niby jak znalazł?

- Przez przypadek.

Tak sobie folgowaliśmy. Było zabawnie. Ale wiedzieliśmy dobrze, że nic się nie zmieni. Mieliśmy między sobą taką żelazną zasadę - była to jedna z pierwszych rzeczy, których uczysz się, kiedy przyjeżdżasz w nowe miejsce do pracy: nigdy nie mów o przyszłości. Nikt z nas nie pozwalał sobie mówić: „następnego lata” albo „za rok”, czy „jak będę duży”. Owszem, często rozmawialiśmy o dniu, w którym spłacimy nasz dług. O tak, o tym mogliśmy rozmawiać do upadłego. Ale nikt z nas tak naprawdę w to nie wierzył. Było to trochę tak, jak klepanie dziecięcych wyliczanek, sposób na przetrwanie. W przeciwnym razie cóż by nam pozostało?

Ikebal pierwszy zdobył się na odwagę, by powiedzieć jasno i otwarcie, że długu nie spłaci się nigdy. I był jedynym, który mówił o przyszłości.

Pamiętam tamtą noc. Zaczęła się jesień i słychać było, jak ulewny deszcz stukał w blaszany dach warsztatu. My dwoje zawsze usypialiśmy ostatni, bo lubiliśmy zostawać sami, by pobyć ze sobą i porozmawiać jeszcze przez kilka minut.

- Fatimo - odezwał się w ciemności - na wiosnę pójdziemy razem puszczać latawce. Pamiętaj o tym, cokolwiek by się zdarzyło.

Nic mu nie odpowiedziałam, bo cóż mogłam powiedzieć? Zrozumiałam tylko, że szykuje jakieś kolejne głupstwo i że nie uda mi się go powstrzymać.

Powiedziałam mu więc najbardziej banalną rzecz, jaką mogłam powiedzieć:

- Uważaj!

Następnego nocy, kiedy szalała burza, Ikebal wstał chwilę przed świtem, przecisnął się - nie wiem w jaki sposób - przez to wąziutkie okienko za brudną zasłonką w głębi hali, przebiegł przez ogród Hussaina Khana i jego sąsiada, przeskoczył przez mur, zdeptał dwa

ogródki warzywne, gdzie dopiero następnego ranka znaleźli jego słabe ślady, dotarł do drogi i zniknął.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez dwa dni nie wiedzieliśmy nic o Ikebalu. Hussain, jak tylko zauważył jego ucieczkę, zwołał rodzinę i przyjaciół, wsiedli wszyscy do furgonetek i wyruszyli na poszukiwania, przeklinając i grzęznąc w przydrożnym błocie.

Cały dzień byliśmy niespokojni. Co chwila spoglądaliśmy w kierunku bramy wjazdowej. O zachodzie wrócił Hussain, brudny na twarzy, cały przemoknięty, w zabłoconych butach. Wszedł do hali warsztatu, gdzie wszyscy staliśmy ze spuszczoneymi głowami przy swoich krosnach.

- Od tej pory - powiedział - będziecie pracować o godzinę dłużej, codziennie.

Własnymi rękoma założył kratę na okienku w ubikacji i kazał Karimowi zwrócić klucze do drzwi.

- A z tobą policzę się później - pogroził. Karim był przerażony.

Pomyśleliśmy o Ikebalu: „Udało mu się. Oby!”.

Hussain wyszedł też następnego dnia, lecz wrócił, zanim jeszcze muezin<sup>12</sup> wezwał do południowej modlitwy, zamknął się w domu i już stamtąd nie wyszedł.

Pracując, myślałam cały czas o Ikebalu. Myślałam, że może udało mu się dotrzeć do swojego domu i rzucić się w objęcia rodziców. Ale przecież tam Hussain dotarłby na pewno i zagroziłby jego ojcu i matce, że wtrąci ich do więzienia za niespłacone długi, jeśli mu go nie oddadzą. A może nadal ukrywał się gdzieś w mieście? Ale gdzie by spał? I co by jadł?

„Jest sprytny” - mówiłam w myślach. „Poradzi sobie”.

Poza tym dobrze pamiętałam jego obietnicę: „Na wiosnę pójdziemy razem - ty i ja puszczać latawce”.

Tak bardzo chciałam, żeby to mogła być prawda, ale nie robiłam sobie złudnych nadziei.

Powiedziałam nawet o tym małej Marii, tak jakby ona była w stanie mnie zrozumieć i mi odpowiedzieć, albo nawet mnie pocieszyć.

- Wiesz, co to jest latawiec, Mario? Puszczałaś kiedyś latawce?

Nic nie odpowiedziała, oczywiście.

- To jest bardzo fajne, wiesz? Biegniesz, a latawiec wzbija się wyżej i wyżej w niebo. Czasem udaje mu się aż dotknąć chmur, podskakuje i przechyla się tak, jak powieje wiatr. Trzeba jednak uważać. Mamie, jeśli puści się sznurek. Latawiec ucieknie i za chwilę już go nie będzie. Kiedyś mi się tak zdarzyło. Byłam zbyt mała i niedoświadczona. Było mi

oczywiście bardzo smutno, aż się popłakałam. Ale potem ten moment, kiedy patrzyłam, jak wzbija się coraz wyżej i wyżej, aż pochłonęło go niebo, już nie był smutny. Pomyślałam sobie wtedy: „Ciekawe gdzie doleci, chciałabym móc polecieć razem z nim”.

Tamtej nocy miałam niespokojne sny. Co chwila jakieś duchy ciągnęły mnie za nogi i budziły. Rankiem trzeciego dnia, właśnie rozpoczęliśmy pracę przy krosnach, gdy na nasze podwórze wbiegł sąsiad Hussaina. Wziął go na bok i mówił coś, gestykulując i wymachując rękoma. Wydawał się przestraszony.

Hussain ze swoją żoną weszli do warsztatu, powiedzieli, żebyśmy zostawili wszystko tak jak jest i wypchnęli nas na podwórze krzycząc:

- Szybko! Szybko!

Otworzyli na oścież zardzewiałe żelazne drzwi prowadzące do Lochu i kazali się ścieśnić na schodach.

- Macie tu zostać! - rozkazał Hussain. - 1 biada wam, jeśli się odezwiecie bodaj jednym słowem.

Ktoś zapukał do bramy wjazdowej. Zostałam zablokowana w połowie wysokości schodów.

- Co się dzieje? - spytałam stojących z przodu.

- Nie widzę dobrze - ktoś odpowiedział - ale teraz Hussain poszedł otworzyć... są ludzie... wydaje mi się... policjant! Dwóch policjantów... jest z nimi Ikebal!

Przephnęłam się w górę, weszłam aż na ostami schodek, spojrzałam przez zardzewiałą dziurkę w starych drzwiach. Faktycznie: stało tam dwóch policjantów, grubych, ze świecącymi twarzami i wielkimi czarnymi wąsami. Mieli pogniecione i wytłuszczone mundury, brzuchy wylewały im się znad paska spodni, ale mimo wszystko byli policjantami. Między nimi stał Ikebal.

Hussain przybrał postawę pełną szacunku, lekko schylił głowę i ocierał dłoń o dłoń. Obok jego żona nerwowo szarpała rąbek swojego fartucha.

Widziałam, jak Ikebal podniósł rękę i pokazał palcem w kierunku warsztatu. Policjanci przeszli przez podwórko, z wielkim spokojem próbując ominąć kałuże, zajrzeli do środka, chwilę rozmawiali między sobą i wreszcie zapytali o coś Hussaina. Ten zaczął mówić nieprzerwanie, nadal z uniozoną miną. Co jakiś czas zwracał się do żony, jakby szukał potwierdzenia swoich słów.

- Co się dzieje? - pytali ci z tyłu.

- Nie wiem, nie słyszę, o czym mówią - odpowiedziałam - ale według mnie Ikebal doniósł na Hussaina.

- Doniósł na niego? Chcesz powiedzieć, że teraz wsadzą go do więzienia?

- Bądźcie cicho!

Hussain ożywił się w rozmowie i szeroko gestykułował. Policjanci sprawiali wrażenie znudzonych. Jeden z nich zerknął na stary zegarek - cebulę. Hussain wziął Ikebala za rękę i przytulił go. Ten próbował się wyzwolić. Pryncypał pogłaskał go szorstkim ruchem po włosach, powiedział coś jeszcze do policjantów, przekazał Ikebala pod opiekę swojej żonie i dał jej znak, by odprowadziła go do domu.

- Nie! - krzyknął Ikebal. - Nie!

A potem powiedział coś jeszcze, czego nie zdołałam usłyszeć, bo zostało zagłuszone uderzeniem pioruna.

- Co się dzieje? - pytali z tyłu. - Co się dzieje, Fatimo?

- Nic nie rozumiem, oddali Ikebala Hussainowi.

- Jak to? Nie aresztowali go?

Widziałam, jak Ikebal krzyczał i wyrywał się, próbując wyzwolić się z uścisku właścicielki, aż wreszcie zniknął wewnątrz domu.

Nagle lunęło. Policjanci śpieszyli się. Za moimi plecami podniosła się wrzawa, ale prawie jej nic słyszałam, nie dowierzając temu, co widziałam.

Hussain sięgnął ręką za pas, wyjął stamtąd gruby zwitek banknotów, odliczył z nich plik i wręczył pierwszemu policjantowi, potem odliczył nieco mniejszy plik i wręczył drugiemu. Przytaknęli z zadowoleniem, zakręcili wąsa, wsunęli pieniądze do kieszeni i odeszli w strugach deszczu.

Staliśmy wszyscy osłupiali na ciemnych schodach. Ikebal nadal krzyczał w domu właścicieli, ale na nic to się już nie zdało.

\* \* \*

Od tej pory żyliśmy jakby w złym śnie, który nie chciał się skończyć. Mechanicznie wykonywałam wszystkie codzienne czynności. Pobudka, siusiu (moje okienko teraz było już na zawsze zamknięte, więc nie miałam już nawet ochoty skakać), śniadanie, praca, praca, praca aż do chwili, kiedy trzeba było kłaść się spać. Płakałam trochę, myśląc o Ikebalu, zamkniętym ponownie tam, na dole, zapadałam w ciężki sen, budziłam się nagle i nic się nie zmieniło: nadal padał deszcz, który stukał w blaszany, przeciekający dach, nadal byłam więźniem, Ikebal nadal był w Lochu i tym razem nie mogliśmy już wychodzić nocą, by ulżyć jego cierpieniom.

„Umrze” - myślałam.

Kilka godzin po wizycie policjantów Hussain Khan wyjechał w sprawach służbowych. Wezwał Karima przy nas wszystkich i powiedział:

- Gdy wrócę, ocenię pracę każdego z was. Uważaj! Tylko ty będziesz odpowiedzialny za to, jak pracowali i ile zrobili.

- Tak, proszę pana! Tak, proszę pana! - powtarzał ciągle Karim.

- A jeśli chodzi o tego, tam na dole... - Tak?

- Zostaw go tam.

- Tak, proszę pana!

Karim oszalał ze strachu i nie dawał nam nawet chwili wytchnienia, nie pozwalał nawet na chwilę oddechu.

- Chcecie mojej zguby - powtarzał ciągle - ale ja wam na to nie pozwolę. Pracujcie! Pracujcie!

Straciłam poczucie czasu. Ile minęło dni? Cztery? Pięć? Sześć?

Ikebal nadal był w Lochu. Wiedziałam, że umrze.

Już nie spotykaliśmy się w nocy, żeby rozmawiać. Nikt na to nie miał ochoty, a poza tym teraz na co to komu? Zanim przyjechał do nas Ikebal, akceptowałam moje życie takie, jakie było, pogodzona, bo nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Ikebal rozpałił w nas wszystkich nadzieję. Teraz rozczarowanie było zbyt bolesne. On już nie będzie w stanie nic więcej zrobić, a żadne z nas nie miało wystarczająco dużo odwagi, by postawić się Hussainowi.

„Umrze” - myślałam. „A ja będę jeszcze bardziej samotna”.

Hussain Khan wrócił w piątek, dzień święty, przeznaczony na odpoczynek dla wszystkich oprócz nas. Przebrał się, przywitał się z sąsiadami, którzy przyszli go odwiedzić i zapytać, jak udała się podróż i jak poszły interesy, pokazał się na moment w drzwiach warsztatu, zakomunikował surowo Karimowi, że po obiedzie oceni naszą pracę i poszedł jeść.

Nawet nie mogliśmy wyjść na przerwę.

- Musicie nadgonić robotę! - krzyczał Karim, spocony i przejęty. - W przeciwnym razie Hussain się na mnie wścieknie.

Pracowałam, próbując nie odczuwać skurczów pustego żołądka. Z domu właściciele dochodził ostry zapach duszonej, pikantnej baraniny. Jadłam coś takiego dwa albo trzy razy w życiu. W wiosce kobiety przygotowywały barana na ważne święta, jak na przykład Choti Eid<sup>13</sup>, i biada, jeśli nie był na tyle ostry, żeby palić w gardło - tak, jak to lubili mężczyźni. Mięso było tłuste i smakowite.

„Pracuj!”

I pewnie mieli jeszcze słodkości, racuszki z serkiem ricotta. Obtoczone w ciemnym cukrze. I w cynamonie.

„Pracuj!”

Byłam głodna, byłam zmęczona, byłam załamana.

Pryncypał przyszedł wreszcie, dłubiąc w zębach wykałaczką. Przerwaliśmy pracę i każdy stanął przy swoim krośnie. Hussain Khan rozmasował sobie krzyż, wziął centymetr krawiecki i kartkę, na której zaznaczył przed wyjazdem długość tkanych przez nas dywanów i z wielkim spokojem rozpoczął mierzenie. Potem brał do ręki tabliczki i wyrokował: ścierał trzy znaczki, cztery albo żadnego, kiedy praca nie była wystarczająco dobrze wykonana. Nikt nie ośmielił się zaprotestować. Powoli przechodził od krosna do krosna. Karim był tuż za nim, z miną psa, oczekującego na kość.

Po otrzymaniu oceny, każdy spuszczał głowę, zrezygnowany. Salman - tylko jeden starty znaczek. Ali („Spartaczona robota!”) - żaden. I mały Ali rozplakał się. Mohammad - trzy znaczki, odetchnął z ulgą.

Była prawie moja kolej. Maria... Pryncypał zatrzymał się przed krosnem małej Marii, wytrzeszczył oczy, rzucił piorunujące spojrzenie Kadmowi, który nie rozumiał, o co chodzi i skomlał ze strachu.

- A to co? - wrzasnął Hussain Khan.

- Ja... nie wiem... proszę pana... ja... - wyjąkał Karim.

Wszyscy podeszliśmy, żeby zobaczyć. Nic nie mogło nas powstrzymać.

Marii od zawsze zlecano najłatwiejsze prace, dywany, które nie wymagały żadnych umiejętności, z najprostszymi wzorami geometrycznymi. Nie była ona ani silna, ani bardzo bystra, co z pewnością związane było z jej głuchotą, czy może jeszcze z czymś innym. Hussain Khan mawiał zawsze, że trzyma ją z litości, ale to nie była prawda - ona też wykonywała swoją część roboty.

Ścieśniliśmy się przy jej krośnie. W ciągu tych ostatnich dni, korzystając z faktu, że nikt na nią nie zwracał uwagi i nawet Karim zachowywał się tak, jakby jej nie było, Maria zmieniła wzór na swoim dywanie. Teraz na samym jego środku zamiast prościutkiego motywu w żółte i czerwone pasy, widniał wspaniały rysunek. Był to latawiec.

Duży biały latawiec z pióropuszem długich wstążek przyczepionych do ogona, wyglądających, jakby poruszał je wiatr i z cieniusieńkim, schodzącym do dołu sznurkiem. Wszystko wokół otoczone było błękitnymi chmurami. Był przepiękny.

Maria stała przy swoim dywanie i wydawała się jeszcze mniejsza, drobniejsza i bezbronna. Hussain Khan rozdziawił szeroko usta. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Spojrzał na Karima. Spojrzał na nas wszystkich. Wyrzwał przez drzwi, jakby szukał wsparcia żony.

„Teraz wybuchnie” - pomyśleliśmy.

Hussain Khan potrafił jedynie wypowiedzieć, charczącym głosem, dwa słowa:

- Do Lochu! Ty też do Lochu! Instynktownie wszyscy go obstąpiliśmy. Maria była zbyt słaba i delikatna, by wytrzymać w Lochu bodaj jeden dzień i Hussain dobrze o tym wiedział.

- Do Lochu! - powtórzył, choć nie wydawał się bardzo przekonany.

„Zróbcie coś!” - krzyczałam w myślach. „Na litość boską, niech ktoś coś zrobi!”

Hussain wyciągnął swoje łapsko w kierunku Marii. Kątem oka zobaczyłam Salmana, który, przepychając się łokciami przed resztą dzieci, wysunął się do pierwszego rzędu.

- Jeśli wyśle pan ją - powiedział, usiłując opanować drżenie głosu - proszę wysłać też mnie.

- Co? Coś ty powiedział?

- Powiedziałem: proszę ukarać również mnie. Bez względu na kostrowatą twarz i szorstkie jak papier ścierny ręce Salman w tamtym momencie wydał mi się przepiękny.

- Do licha! - powiedział Mohammad i ze zdenerwowania zaczął się momentalnie jękać. - Tak więc m... m... m...

- No, dalej! - zachęcali go stojący z tyłu.

- Mm... mmnie też proszę wysłać - dokończył z trudem.

Rozejrzał się wokół z satysfakcją, jakby wygłosił nie wiem jakie przemówienie; podrapał się w głowę; splunął na ziemię tak, jak to robił zawsze Karim, mimo że - między Bogiem a prawdą - nie skapnęła mu ani odrobina śliny.

Chwilę później wszyscy trzymaliśmy w górze ręce, krzyząc:

- Proszę wysłać też mnie! Proszę wysłać też mnie!

Krzyczał również mały Ali schowany, jak zawsze, za moją spódnicą.

Pryncypał był blady. Kręcił się w tę i w tamtą stronę, niepewny co ma zrobić. Próbował nas przekrzyknąć, ale mu się nie udało. Było jasne, że w tamtej chwili nas wszystkich nienawidził i że najbardziej chciałby, żebyśmy umarli. Ale nawet on wiedział, że to jest niemożliwe.

W końcu uciekł. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Hussain Khan wycofał się, mamrocząc pod nosem próżne groźby, odprowadzony naszymi krzykami i pogardliwymi prychnięciami. Karim zniknął wraz z nim.

Godzinę później Ikebal był znowu z nami, po sześciu dniach spędzonych w Lochu.



Bardzo wyczerpany, bardzo blady, bardzo wygłodzony, ale żywy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dotarłem do miasta - opowiadał nam Ikebal - jak właśnie zaczynało świtać. Niebo było szare, padało, wszędzie stały wielkie kałuże. Nie wiedziałem, dokąd pójść. Przez jakiś czas włóczyłem się bez celu. Chodziłem po dzielnicach, gdzie domy były bardzo wysokie, wszystkie identyczne, oraz po biednych dzielnicach, o gęstej, rozsypującej się zabudowie. Wokół nie było jeszcze prawie nikogo, bo było zbyt wcześnie. W pewnym momencie znalazłem się na bardzo szerokiej i długiej ulicy wychodzącej z miasta i pomyślałem, że być może doszedłbym nią do domu, na wieś, do moich bliskich. Mogłem się ukryć i próbować jakoś wskoczyć do przejeżdżającej tamtędy ciężarówki lub do autobusu. Chciałem tak zrobić. Potem pomyślałem jednak, że z całą pewnością Hussain Khan pojedzie mnie szukać do domu moich rodziców i zmusi ich, by mnie jemu zwrócili. Mama na pewno byłaby przeciwna, ale tata jest człowiekiem honoru, szanującym prawo, tak więc mając niespłacony dług, nie mógłby zaprotestować. Dlatego też poszukałem placu targowego. Jest ogromny, wiecie? Nawet nie wyobrażacie sobie jak bardzo. Są tam setki drewnianych stoisk, jedno obok drugiego, stopy skrzynek i maty, na których każdy wyklada swój towar. Mimo padającego deszczu handlarze już pracowali. Góry owoców, ciężarówki warzyw, które przybywały z prowincji, kosze przypraw we wszystkich kolorach, przykryte plastikowymi foliami. Dalej stoiska rzeźników, którzy porozwieszali wszędzie specjalne lepy na muchy, aby ochronić przed nimi mięso. Są tam też i tacy, którzy po prostu kładą swój towar na ziemi i sprzedają wszystko, co się da - stare i dziwne przedmioty, nawet pokrzywione i zardzewiałe gwoździe.

- No coś ty!

- Mówię wam. Serio. Nie wiem, kto to kupuje. A jeszcze dalej są takie stragany, które wyglądają jak najprawdziwsze sklepy. Można tam kupić wielkie radia i specjalne kasety, które wkłada się do środka i wtedy gra muzyka.

- Wiem, o czym mówisz - powiedział Karim z mądrą miną.

- Są jeszcze inne kasety, z których - jak mówią - można odtwarzać filmy.

- A o tym nie słyszałem - przyznał Karim.

- Kręciłem się tam godzinami. Było coraz więcej ludzi i coraz więcej zamieszania. Pomyślałem, że jeśli wtopię się w tłum, Hussainowi będzie trudniej mnie znaleźć. Widziałem też różne przedstawienia - popisy żonglerów i zaklinaczy węży.

- Nie ma zaklinaczy węży.

- A właśnie że są.

- I co, może wąż tańczył w rytm muzyki?

- Nie całkiem. Ale wyszedł z kosza. To był gruby wąż z szeroką głową i złym spojrzeniem, a jego właściciel wziął go w dłonie.

- Gołymi rękoma?

- Dokładnie. Wszędzie sprzedawali rzeczy do jedzenia: wielkie patelnie smażonej *samosy*<sup>14</sup> i *shami kebabu*<sup>15</sup>, wiecie to takie kotleciki z mięsa barana i z soczewicy, gary ryżu basmati z kurczakami *tandoori*<sup>16</sup>, kawałki mięsa i warzyw z grilla. Co za zapach! A ja byłem taki głodny...

- A co zrobiłeś potem?

- Pracowałem. Tam też tak jest, wiecie?

- To znaczy jak?

- Że pracują dzieci. To one na całym targu rozładowują ciężarówki i noszą skrzynie, niektóre tak ciężkie, że urywa ręce. Idzie się do kupca i się pyta:

- Masz dla mnie pracę, tatuśku? A on odpowiada:

- Przenieś mi ten towar, a dam ci jedną rupię.

Ja też tak zrobiłem. Ale były tam inne dzieci, które nie chciały, żebym ja pracował. Mówiły mi:

- Spadaj, coś ty za jeden? Skąd się wziąłeś? To nasze miejsce. To nasza praca.

Obawiałem się, że w ten sposób zwrócą na mnie uwagę tłumu. Z całą pewnością Hussain Khan był gdzieś w pobliżu, szukając mnie. Dlatego powiedziałem, żeby dali mi spokój i próbowałem w innym miejscu. W końcu znalazłem rzeźnika, który kazał mi rozładować całą ciężarówkę ćwiartek barana. Dał mi worek, żebym go założył na głowę i na plecy, bym nie ubrudził się krwią i to mi bardzo odpowiadało, bo będąc w worku byłem nie do rozpoznania przez Hussaina. W pewnym momencie nawet wydawało mi się, że widziałem go w tłumie.

- Ale co miałeś zamiar robić dalej?

- Nie wiedziałem. Myślałem, że ukryję się przez kilka dni na targu, a potem coś wymyślę. Pracowałem do późnego popołudnia, zjadłem coś za zarobioną u rzeźnika rupię. Przestało padać i zaczęło wychodzić niemrawe słońce. Usiadłem pod ścianą, żeby odpocząć. Podeszło wówczas do mnie dwóch chłopaków, starszych ode mnie. Palili papierosy i rozmawiali w jakiś dziwny sposób.

- Jesteś nowy? - spytali. - Tak.

- Skąd przybywasz?

- Ze wsi - skłamałem.

- Szukasz pracy? Jeśli jesteś sprytny, mamy dla ciebie robotę.

- I co ci zaproponowali?

- Nie zrozumiałem dobrze. Ale mieli nóż. Pokazali mi go. Powiedziałem im:

- Nie, dziękuję. Nalegali. Zapytałem ich:

- Wiecie, gdzie mógłbym się przespać? Zaczęli się śmiać:

- Tu. Gdzie tylko chcesz. Każde stoisko nocą staje się pokojem hotelowym. Ale uważaj, zarozumiały żółtodziobie.

- Dlaczego? - spytałem. - Uważaj!

Udało im się mnie przestraszyć. Czułem się samotny. Nie wiedziałem, co mam robić i dokąd iść. Brakowało mi was. Pomyślałem, że ucieczka była kolejną głupotą. Targ pustoszał, zapadał wieczór. Ogarnął mnie smutek i tęsknota za domem. Uciekłem w nadziei, że ktoś pomoże mi i wam wszystkim, a tymczasem byłem sam.

- Co wtedy zrobiłeś?

- Zobaczyłem nadjeżdżający autobus, jeden z tych wielkich, kolorowych, z wieloma światłami i klaksonami. Pamiętasz, Fatimo, jak ci mówiłem, że bardzo chciałbym się takim przejechać?

- Pamiętam.

- Tak więc wsiadłem i pojechałem na przejażdżkę po mieście. Jechałem aż do chwili, kiedy zobaczył mnie konduktor i obrzucając mnie obelgami, kazał mi wysiąść. Potem wsiadłem do następnego, a potem jeszcze do kolejnego. Ostatni wysadził mnie w nieznannej dzielnicy. Była już prawie noc, znowu byłem głodny. Skończyła się zabawa. Znalazłem osłonięty zaułek, zwinąłem się w kłębek, by nie czuć wiatru i usnąłem. Rankiem dozorca przegonił mnie kijem. Znowu poszedłem na targ, rozładowałem dwie ciężarówki arbuźów, nieustannie rozglądając się wokół w strachu, czy nie zobaczę Hussaina. „Zostanę tu kilka dni” - myślałem. „Może pryncypał zmęczy się szukaniem mnie i wtedy będę mógł wrócić do domu”. Ale nie byłem przekonany. Bałem się, że już zawsze będę musiał tam mieszkać jak włóczęga. Potem, po południu, przyszli ci ludzie.

- Jacy ludzie?

- Przyszli w grupie, była z nimi nawet jedna kobieta. Ustawili coś w rodzaju podwyższenia, a za nim rozwiesili transparent i masę plakatów. Oczywiście nie wiedziałem, co tam było napisane. Natychmiast zebrał się wielki tłum. Przybyła też policja, by zaprowadzić porządek. „To, żeby im pomóc”

- pomyślałem. Na podwyższenie wszedł jakiś człowiek. Jak tylko go zobaczyłem, od razu mi się spodobał, sam nie wiem czemu. To dobry człowiek, z całą pewnością. Miał ładną,

zadbaną szpiczastą bródkę i czystą białą koszulę. Zaczął mówić do mikrofonu.

- I co mówił?

- Mówił... Dobrze pamiętam jego słowa, bo nigdy jeszcze takich słów nie słyszałem.

Mówił: „Jesteśmy z Frontu Wyzwolenia Pracujących Dzieci”.

- A co to jest?

- Nie wiem. Ale mówił, że to hańba i barbarzyństwo, żeby dzieci były wyzyskiwane i zmuszane do pracy jak niewolnicy, przykute do krosien lub zatrudniane w cegielniach. Mówił, że pracodawcy są chciwi i pozbawieni skrupułów.

- Tak mówił, jesteś tego pewien?

- Jestem pewny. A potem mówił, że teraz jest takie prawo, również w Pakistanie i że jeśli ktoś wyzyskuje dzieci, musi iść za to do więzienia i takie tam inne rzeczy.

- Słusznie! Słusznie!

- Tak. Ale większość zebranych tam ludzi wcale tak nie myślała. Handlarze wykrzykiwali obraźliwe słowa i rzucali w niego warzywami, by przestał mówić. Wołali:

- Wynoś się! Błazen! Zdrajca!

Ale on potrafił krzyczeć głośniej od nich i nie pozwolił się zastraszyć. Ale żebyście ich widzieli! Handlarze dywanów byli najbardziej agresywni. Wydawało się, że chcieli zaatakować podest. Mówili:

- To są bzdury! To są zwykłe kłamstwa! Pomyślałem: „To jest człowiek, który może pomóc mi i moim przyjaciołom”. Zbliżyłem się do podwyższenia, żeby z nim porozmawiać, ale tłum był zbyt gęsty. A poza tym podest był otoczony przez policję. Pomyślałem wówczas, że przecież równie dobrze mogę to powiedzieć policjantowi. Policja jest tutaj, żeby im pomóc. Ten człowiek mówił, że jest takie prawo. Zwróciłem się do najbliższego policjanta.

- Ten człowiek ma rację - powiedziałem. - Ja i moi przyjaciele jesteśmy więzieni przez producenta dywanów.

- To jak to się stało, że ty jesteś tutaj? - zapytał mnie.

- Uciekłem - odpowiedziałem mu.

- A jak nazywa się twój pracodawca?

- Hussain Khan, proszę pana. Rozejrzał się dookoła.

- Chodź ze mną - powiedział. - Dokąd?

- Nie bój się, zaprowadzę cię do nas, do koszar. Damy ci jeść. A jutro pójdziemy znaleźć tego Hussaina.

- Wsadzicie go do więzienia? - spytałem.

- Już my wiemy, co mamy z nim zrobić.

W koszarach wszyscy byli dla mnie uprzejmi. Dali mi miseczkę ryżu i położyli spać na składanym łóżku w jednej z cel. Ale nie byłem więźniem - jeśli chciałem, mogłem wyjść. Tak powiedzieli. Już wiecie, co się stało następnego ranka. Hussain powiedział im, że jesteśmy pracownikami, że dostajemy regularnie wypłaty i że nie ma żadnych łańcuchów. A oni mu uwierzyli.

- Nie uwierzyli mu - wyjaśniłam. - Wzięli pieniądze. Widziałam to.

Spojrzelśmy po sobie zmartwieni. Zgromadziliśmy się wokół łóżka Ikebala. On był jeszcze blady i słaby i wydawało się, że nawet mówienie sprawia mu trudność.

- Ale jeśli nie możemy zaufać nawet policji, kto będzie mógł nam pomóc? - spytałam, wyrażając to, o czym myśleli wszyscy.

- Ludzie z Frontu Wyzwolenia - odpowiedział Ikebal. - Oni nam pomogą.

- Może. Ale jak do nich dotrzemy?

Ikebal uśmiechnął się chytrze, włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął z niej kartkę papieru.

- Co to jest? - spytaliśmy wszyscy.

- Oni to rozdawali. Z całą pewnością jest tam też napisane, jak ich znaleźć.

Kartka krążyła z rąk do rąk. Dotykaliśmy jej i oglądaliśmy, zakłopotani.

- Tak, bracie - powiedział wreszcie Salman - pewnie masz rację. Ale zapominasz o jednej rzeczy: nikt z nas nie umie czytać.

Zapanowało długie milczenie.

Potem jakiś głos za naszymi plecami, jakiś głos, którego nigdy wcześniej nie słyszeliśmy, jakiś głos dziwny, jakby zardzewiały, powiedział:

- To nieprawda. Ja umiem czytać. Obejrzelśmy się wszyscy i z rozdziawionymi buziami spojrzeliśmy na Marię, jak durnie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W końcu nadeszła Wiosna Latawca. Zawsze ją tak nazywałam w myślach. Pamiętam, jak zaczynał wiać wiatr z gór: na początku był zimny i czysty, potem ogrzewał się słońcem i rozwiewał chmury, dym i kurz miasta; osuszał deszcz i wilgoć, którą wszystko było przesiąknięte w poprzednich miesiącach. Wreszcie wywoływał u nas uśmiech.

Na podwórzu wyrastały dziwne kwiaty i wielkie trawy. Kiedy wychodziliśmy na przerwę południową wszędzie rozchodził się piękny zapach. Wróciły dwa dzikie koty, których od dawna nie widzieliśmy i które nigdy nie dawały się złapać. Mohammad rozkładał się na słońcu i mrucał z zadowolenia; Karim rozkładał się na słońcu i mrucał ze strachu, że Hussain będzie na niego zły. Patyk był jeszcze szczuplejszy i bardziej wysuszony niż zwykle, jeśli to w ogóle jest możliwe, również dlatego, że wyleczył już rękę i musiał pracować jak wszyscy. Mały Ali urósł podczas zimy niczym grzyb po deszczu i już nie był naszym małym Alim. To było coś nowego.

Ikebal znowu uciekł, lecz tym razem byliśmy pewni, że mu się uda.

Przygotowywaliśmy się do tego przez całą zimę. Każdej nocy, przy świetle z ogarków świec, które Karim i Patyk - zwany teraz Miotłą - kradli z domu właścicieli, Maria zbierała nas wszystkich, żeby nauczyć nas czytać. Była absolutnie nieustraszona: nawet takim zatwardziałym tupa - | kom jak Salman, czy śmierdzącym leniom jak Karim, nie udawało się wymknąć spod jej surowej kontroli.

Za tablicę służyło jej klepisko odpowiednio wygładzone ręką, a za ołówek - zaostrzony patyczek, którym złościła litery alfabetu, a my musieliśmy powtarzać je chórem, niczym banda idiotów.

- Nic z tego nie rozumiem - biadolił Karim, który pogubił już się po trzech pierwszych literach - nigdy się tego nie nauczę.

- Cicho bądź! - mówiła skrzekliwym głosem Maria i kazała powtarzać mu od nowa.

Ona uczyła nas czytać, a my uczyliśmy ją mówić. Maria była córką dyrektora szkoły w prowincji Faisalabad<sup>17</sup>, który wcześniej owdowiał. Od małego bawiła się starymi książkami z obrazkami, które pachniały kurzem i wydawało się, że w każdym momencie mogą się rozlecieć. Nauczyła się czytać właściwie sama. Jej ojciec był ubogi, prawie tak samo jak chłopci, którzy od czasu do czasu, choć niechętnie, powierzali mu swoje dzieci, by ich nauczał. Zamiast zapłaty przynosili mu sporadycznie jakieś warzywa ze swoich ogródków.

- Wasze dzieci nie mogą być nieukami - ciągle powtarzał nauczyciel - bo całe życie

będą tylko służącymi i nędzarzami, tak jak wy. Czy tego dla nich chcecie?

- Nie, panie - odpowiadali, zdejmując z szacunkiem kapelusz.

Naprawdę szanowali nauczyciela i wierzyli w to, co mówił. Ale czasy były takie, jakie były i dzieci musiały pomagać w domu i w polu lub pracować dla właściciela. Nie było czasu na szkołę.

- Niech pan idzie uczyć dzieci bogaczy - doradzali mu chłopci. - Szkoła nie jest dla nas.

Ale ojciec Marii nie chciał pójść do bogaczy. Aż do momentu, kiedy po raz pierwszy musiał się zwrócić do lokalnego lichwiarza. Potem po raz kolejny. Wrócił do domu z wielkim bólem w klatce piersiowej i od tej pory przestał mówić. Następnego ranka dwóch mężczyzn przyszło, żeby zabrać Marię. Jej ojciec leżał nadal na swoim posłaniu, nawet nie podniósłszy głowy. Od tamtego dnia Maria nie odezwała się ani słowem.

- A jak ci naprawdę na imię? - spyaliśmy natychmiast.

- Mam na imię Maria - odpowiedziała z trudem, próbując dobrać kolejno właściwe słowa - bo wy mnie tak nazwaliście. To wy jesteście moją rodziną.

\* \* \*

Minał już prawie rok od przyjazdu Ikebala i faktycznie coś między nami się zmieniło - wcześniej byliśmy jedynie grupą dzieci dzielących wspólny los, każdy próbował przeżyć tak jak mógł. Teraz byliśmy solidarni, zjednoczeni, byliśmy przyjaciółmi a może nawet więcej.

Pewnej nocy udało nam się w końcu wspólnymi siłami rozszyfrować osławioną ulotkę przyniesioną przez Ikebala. Nagle, jakby cudem, wszystkie te znaczki tak nieumiejętnie rysowane dotychczas na klepisku, wszystkie te niezrozumiałe bazgroły nabrały konkretnego znaczenia.

Zobaczyliśmy, jak na kartce powstawało zdanie, samo, przysięgam wam - my nic nie robiliśmy. Powstało samo z siebie i wyjaśniło nam bardzo wiele rzeczy.

Pamiętam, że serce biło mi jak szalone. Nie mogłam w to uwierzyć! Tak więc to oznaczyło umieć czytać: patrzysz na martwą rzecz, a ona nagle ożywa i jak człowiek zaczyna do ciebie przemawiać.

Krzyknęliśmy gromkie hurra i szybko pobiegliśmy schować się w łózkach, bo oczywiście obudziliśmy właścicielkę.

Tyle razy powtarzaliśmy to, co było tam napisane, że nawet jeszcze dziś dobrze to pamiętam. Było tam tylko kilka linijek takiej treści:



**STOP**

**WYZYSKIWANIU NIELETNICH W PRACY!!!**

W Pakistanie ponad siedem milionów dzieci, żyjących jak prawdziwi niewolnicy, zmuszanych jest do prac w polu, w cegielniach i w fabrykach dywanów przez chciwych, pozbawionych skrupułów właścicieli. Dzieci są przykuwane łańcuchami, bite i torturowane w rozmaity sposób.

Pracują od świtu do nocy!

Za swoją ciężką pracę dostają 1 rupię dziennie!

Ich właściciele natomiast wzbogacają się, sprzedając wysoko cenione dywany kupcom z Zachodu!

Policja wie o wszystkim, ale nie interweniuje, bo jest skorumpowana!

Istnieje teraz prawo, również w naszym kraju, które nakazuje zamknięcie nielegalnych fabryk i aresztowanie ich właścicieli.

Sprawmy, by je respektowano!

Położmy kres tej hańbie, która zniesławia nasz kraj!

Nasze dzieci mają prawo być po prostu dziećmi!

**PRZYŁĄCZCIE SIĘ DO NAS!!!**

**WALCZCIE RAZEM Z NAMI!!!**

**FRONT WYZWOLENIA**

**PRACUJĄCYCH DZIECI**

Był tam też oczywiście adres, którego tak szukaliśmy. Naszym zadaniem było teraz dotrzeć w to miejsce. Zrobiliśmy plan.

\* \* \*

Bójka wywiązała się nagle, podczas gdy spokojnie rozłożyliśmy się na podwórzu, bycie się słońcem. Zdaje się, że Mohammad, który zawsze był raczej niezdarny, popchnął Salmana, wytrącając mu miseczkę z zupą. Inni natomiast twierdzą, że to Salman dokuczał Mohammadowi, wyśmiewając się z jego nieproporcjonalnie dużych stóp, więc góral mu się odplacił.

Chwilę potem bili się już nie na żarty i zanim Karim zdążył cokolwiek powiedzieć, zamieszanie przerodziło się w ogólną bójkę. Bili się wszyscy: część była po stronie Salmana, część - po Mohammada, a część niezdecydowana, ale i tak skora do bójki. Byli też tacy,

którzy woleliby stać z boku, ale nie mieli na to szans. My, dziewczyny, biegałyśmy po korytarzu, krzycząc jak gęsi i unosząc tumany kurzu i kurzych piór.

Właścicielka upuściła na ziemię gar z zupą rozlewając ją wszędzie i skierowała swoje ociężałe kroki do domu, wołając męża. Hussain Khan pojawił się w drzwiach w podkoszulce, z wąsami ociekającymi tłuszczem, jako że właśnie przerwaliśmy mu śniadanie.

- Przestańcie! Przestańcie! - wrzeszczał.

Potrzeba było dobrych dziesięciu minut, żeby przywrócić spokój. Drugie tyle zajęła porządna bura dla wszystkich, okraszona jak zwykle dobrze znanymi nam groźbami i nieuniknioną karą jednego dnia w Lochu dla dwójki odpowiedzialnych za zamieszanie. Poza tym musieliśmy wyczyścić podwórze, które było całe zalane zupą.

W końcu Hussainowi udało się zawlec dwóch kłócących się chłopców, którzy nie przestawali obrzucać się obelgami na dół, na dobrze znane schody, zamknąć ich i wrócić do przerwanego posiłku.

Karim ustawił nas skrupulatnie w szeregu jak żołnierzyków i odprowadził do hali warsztatu. Kazał nam podejść do krosien, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, pomyślał chwilę, podrapał się w głowę, splunął dwa czy trzy razy na ziemię i potrzeba mu było jeszcze kilku minut, by zrozumieć, że coś jest jednak nie tak. Raz jeszcze z wielkim spokojem przeszedł przez podwórze, poprawił sobie spodnie, zapukał do drzwi właścicieli i zakomunikował zszokowanemu pryncypałowi, że według jego obliczeń brakuje jednego pracownika.

Faktycznie, korzystając z zamieszania, Ikebal przeskoczył przez murek w głębi podwórza i po raz drugi uciekł tą samą drogą przez ogródki warzywne. Mimo że miał niewielką przewagę, wiedzieliśmy, że już nie zdołają go dogonić.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Eshan Khan wyglądał dokładnie tak, jak go opisywał Ikebal - był wysokim, niezbyt masywnym mężczyzną, sprawiającym wrażenie silnego i zdecydowanego. Miał czarne włosy, czarną zadbaną brodę i zawsze ubierał się na biało. Od lat poświęcał swoje życie na wyzwolenie spod jarzma niewoli wyzyskiwanych w pracy dzieci. W efekcie swojej działalności był wielokrotnie zastraszany, bity i więziony. Nigdy się jednak nie poddawał, przeciwnie - za każdym razem rozpoczynał od nowa z jeszcze większym entuzjazmem i zawziętością. Był uparty, to prawda. A przede wszystkim miał niezłomną wiarę w swoje idee i w swoją misję.

Nigdy wcześniej nie poznaliśmy dorosłego człowieka takiego jak on. Nasi rodzice byli zmęczeni i zrezygnowani - żyli tak, jak ich ojcowie i ojcowie ich ojców, wierząc, że świat zawsze będzie taki sam i że nic nie można zrobić, żeby go zmienić. Zbiór zabierze właściciel, bawół się rozchoruje, a lichwiarze zrujnują życie ich i ich dzieci.

- Od zawsze tak było - mawiali.

Zanim poznałam Ikebala, myślałam dokładnie w ten sam sposób i wierzyłam, że tkanie dywanów, będąc przykutym do krosien, jest częścią porządku naturalnego tego świata albo w najlepszym wypadku niedolą której i tak nie można uniknąć. Eshan Khan otworzył mi oczy i - nawet jeśli nie rozumiałam wszystkiego, o czym mówił, bo byłam wtedy jeszcze za mała i za głupiutka - wiele rzeczy pamiętam do dziś. Eshan Khan stał się dla wielu z nas jakby drugim ojcem, mimo że, muszę przyznać, nigdy nie robił nic, żeby oddalić nas od naszych domów rodzinnych. Przede wszystkim jednak stał się ojcem dla Ikebala. Myślę, że to było nieuniknione: Ikebal był dokładnie taki jak on - uparty, lekkomyślny i przekonany, że świat można zmienić.

Kiedy Eshan Khan razem z dwoma innymi osobami z Frontu Wyzwolenia Pracujących Dzieci przybyli do domu Hussaina, zrozumieliśmy natychmiast, że nic ich nie powstrzyma. Przyprowadzili ze sobą policjanta, grubego jak ci poprzedni, ale w porządnym mundurze i z całą masą naszywek na rękawach.

- To oficer - ktoś wyjaśnił.

Był z nimi również wysoki i szczupły mężczyzna z ponurą i surową twarzą, który powiedział, że jest sędzią.

I wreszcie był Ikebal, z błyszczącymi oczyma, który radośnie podrygiwał i dawał nam wyraźne znaki rękoma.

- Udało mu się! - krzyknęliśmy. - Tym razem mu się udało!

Hussain groził, dyskutował, błagał, wyłamywał swoje tłuste ręce, pokazywał z pozornie obojętną miną zwój banknotów, które nosił za pasem. Nic mu to nie pomogło.

Ikebal zaprowadził ich do warsztatu.

- Spójrz na te dzieci - powiedział Eshan Khan do sędziego. - Spójrz, jakie są wychudzone. Spójrz na ich dłonie całe w skaleczeniach i bąblach. Spójrz na łańcuchy u stóp.

Potem przeszli przez podwórze, zeszli w dół do Lochu, skąd wyszli po chwili, podtrzymując Salmana i Mohammada. Chłopcy, mimo że szli zataczając się, z zamkniętymi oczyma, bo raziło ich światło dzienne, mieli jeszcze siłę wygłupiać się i głośno wiwatować. Policjant zabrał Hussaina, a jego zaszlochana żona zamknęła się w domu. Zdjęli nam łańcuchy, otworzyli na oścież drzwi i powiedzieli:

- Jesteście wolni, możecie iść.

Wyszliśmy wszyscy razem, pełni obaw. Staliśmy w bramie, która prowadziła na ulicę. Spojrzeliśmy w jedną i w drugą stronę. Zebrał się tłumek gapiów, ktoś krzyczał. Weszliśmy z powrotem do środka, zdezorientowani.

- Nie wiemy, dokąd mamy iść - powiedział ktoś w końcu.

Doskonale pamiętam, co wtedy czułam: byłam zupełnie zagubiona. Wspominałam nasze nocne rozmowy z Ikebalem i z innymi dziećmi, kiedy wielokrotnie powtarzaliśmy: „Jak będziemy wolni...” i wszystkie plany, jakie snuliśmy, a teraz, kiedy nadszedł ten moment, bałam się.

Ikebal objął każdego z nas po kolei.

- Zabierzmy ich do nas - zwrócił się do Eshana Khana - do siedziby Frontu.

Podzielili nas na dwie grupy i załadowali do samochodów. Kiedy się oddalaliśmy, udało mi się na chwileczkę zerknąć przez tylną szybę. Zobaczyłam dom Hussaina, warsztat, podwórze ze studnią, znikające powoli w tumanach kurzu. To tam spędziłam ostatnie lata mojego życia. Nieomal wydawało mi się, że nigdy nie miałam innego domu.

Instynktownie oczyma szukałam Ikebala. Siedział ściśnięty naprzeciwko mnie.

- Myślisz, że jeszcze tu kiedyś wrócimy? - spytałam go.

- Nigdy więcej - odpowiedział zdecydowanie.

Fabryka dywanów zniknęła za zakrętem. Jediną rzeczą, którą wspominałam z sentymentem było okienko w łazience, które przez tyle czasu było promykiem mojej nadziei.

\* \* \*

Siedziba Frontu Wyzwolenia Pracujących Dzieci mieściła się w starym domu z

czasów kolonialnych z obdrapanymi ścianami w kolorze antycznego rózu i z małym ogródkiem otoczonym wysokim płotem, z którego wychodziło się na wąską i zatłoczoną ulicę, dokładnie na tyłach placu targowego. Był to piętrowy budynek, który, mimo że stary i zabałaganiony, od razu wydał mi się ładny i wygodny. Dawał poczucie prawdziwego domu, ciepła i bezpieczeństwa.

Na parterze znajdował się wielki pokój cały zagracony stołami, kulawymi krzesłami, stertami gazet, książek i ulotek porozkładanych wszędzie dookoła, plakatami, transparentami, dwoma wiatrakami, które bezskutecznie próbowały poruszyć przesiąknięte papierosowym dymem powietrze i telefonami, które dzwoniły bez przerwy. Między nogami płątały się trzy psy, wszędzie wokół kręcili się ludzie bez marynarek, którzy krzyczeli, a na nasz widok gwałtownie zamilkli i zaraz potem zaczęli bić brawo.

Przechodziliśmy gęsiego, z wytrzeszczonymi oczyma, chcąc zapaść się pod ziemię z zakłopotania.

- To jest siedziba Frontu - wyjaśnił nam Ikebal - i wszyscy tutaj są przyjaciółmi. Nie musicie się niczego obawiać.

- Ale czemu biją brawo?

- Biją nam brawo. - Nam?

Na piętrze natomiast było wiele pokoi, duża kuchnia, skąd dochodziły kuszące zapachy, ubikacja rozmiarów wielkiego placu, wszystko czyste, i gigantyczna, nie wiadomo do czego służąca wanna. Były tam też trzy kobiety, które, jak tylko nas zobaczyły, pobiegly nas uściskać, rozmawiając nieprzerwanie między sobą.

- Popatrz, jakie biedne stworzenia...

- Jacy są wychudzeni...

- A ręce, spójrz na ich ręce...

- A te ślady na kostkach... Popatrz jakie rany...

- I mają wszy...

Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, poznaliśmy zastosowanie wielkiej wanny - napełniono ją gorącą wodą i po kolei, zniecka, mimo protestów zostaliśmy zanurzeni, umyć, wypucowani, wyczesani, wytarci i odwszeni. Dostaliśmy czyste ubrania i obfitą kolację. W sąsiednich pokojach przygotowano dla nas prowizoryczne pośłania.

Kiedy nadszedł wieczór, po raz pierwszy w moim życiu cieszyłam się poczuciem sytości, zapachem czystości i luksusem pościeli. Z pobliskiej ulicy, gdzie - jak się wydawało - życie nigdy nie zwalniało, dochodziły do mnie setki różnych odgłosów: huk silników, trąbienie klaksonów, ryk osłów, wybuchy śmiechu, dźwięk syreny, tajemnicze szmery i

słabiutkie nawoływanie muezina.

„Nigdy nie uda mi się tu zasnąć” - pomyślałam.

I momentalnie usnęłam.

\* \* \*

Następnego ranka obudziłam się jak zwykle o świcie. Rozejrzałam się wokół, nie mogąc zrozumieć, gdzie jestem. Moją pierwszą myślą było: „Muszę biec do krosna. Spóźniłam się, pryncypał mnie ukarze”.

Wstałam i ubrałam się w gorączkowym pośpiechu. Wyszłam na korytarz. Duży dom był pusty i milczący. Zerknęłam piętro niżej: żadnych krosien, żadnego pryncypała, żadnej pracy.

Usiadłam na schodach i zaczęłam płakać. Nie wiem dlaczego. Przez wszystkie tamte lata ani razu nie płakałam. Nie płakałam, kiedy czułam się samotna i zagubiona, kiedy byłam niewolnicą w fabryce Hussaina; nie płakałam, kiedy krwawiły mi ręce po całym dniu pracy; nie płakałam, kiedy bałam się, że Ikebal umrze w Lochu. Ale w tamtej chwili nie potrafiłam powstrzymać łkania. Jedna z kobiet, którą poznałam poprzedniego dnia, wyszła z kuchni, gdzie w wielkim garnku mieszała coś smakowitego. Objęła mnie.

- Nie bój się, mała - powiedziała. - To wszystko już się skończyło.

Ale ja nie płakałam ze strachu. To było coś innego.

Po kolei pobudzili się wszyscy. Sądząc po ich minach, nie czuli się wiele lepiej ode mnie. Zjedliśmy śniadanie. Rozproszyliśmy się po domu, pomiędzy wielkim pokojem na parterze i ogrodem. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Kobieta, która - jak się okazało - była żoną Eshana Khana, powiedziała:

- Bawcie się, dzieci!

Podzieliliśmy się na grupki, ale czuliśmy się nieswojo. Nie przywykliśmy do zabawy. Od lat już się nie bawiliśmy i nie wiedzieliśmy, jak to się robi.

Nadszedł Eshan Khan, uśmiechnięty i jak zwykle ubrany na biało. Zgromadził nas wokół siebie i poprosił, by każdy powiedział, skąd pochodzi. Front bowiem miał zająć się odnalezieniem naszych rodzin, by móc odwiedzić nas do domów.

- Będziecie mogli znów przytulić się do swoich rodziców - powiedział.

Większość z nas krzyknęła z radości i stłoczyła się wokół niego, wykrzykując dziwne i nieznane nazwy miejscowości. Ale niektórzy zostali na uboczu.

Karim, wielki i niezdarny, mamrotał:

- Ja nie mam rodziny, dokąd więc pójdę?

Mała Maria przyszła ukryć się w moich ramionach i wyszeptała mi do ucha, tym swoim jeszcze niepewnym i ochrypłym głosem:

- Obawiam się, że mój tata może nie żyć. Mam tylko was. A ty, dokąd pójdziesz, Fatimo?

No właśnie, co ze mną będzie? Miałam tylko słabe wspomnienie mojej mamy i jakiś wyblakły obraz moich licznych braci. Nawet już nie pamiętałam ich imion.

Nie byłam pewna, czy wiem, jak nazywała się i jak wyglądała moja wioska. Wiem, że gdzieś, pośród pól, stały cztery chaty. Czasem myślałam nawet, że one nigdy nie istniały.

Zbliżył się do mnie Ikebal.

- Ty wyjedziesz, prawda? - spytałam go.

Pamiętam, z jakim uporem przechowywał w pamięci nawet najmniejsze szczegóły z życia rodzinnego. Odwrócił twarz, jakby nie chciał mi patrzeć w oczy.

- Tak - mruknął - myślę, że tak.

- Chciałbyś się znowu móc przytulić do rodziców?

- Pewnie - mruknął znowu.

- Ale nie jesteś szczęśliwy? Przez chwilę stał w milczeniu.

- Nie wiem - odpowiedział wreszcie.

To było coś, czego nie mogłam zrozumieć.

- Widzisz - wyjaśnił mi, mówiąc powoli - to jest tak: chciałbym zobaczyć znowu moją rodzinę, po tak długim czasie. Chciałbym zobaczyć znów moją mamę i mojego tatę. Ale nie chciałbym żyć tak jak oni.

- Obawiasz się, że znowu cię sprzedadzą? - spytałam.

- Nie o to chodzi - powiedział. - Nasi ojcowie nie sprzedali nas dlatego, że są źli. To było dla nich bardzo bolesne, ale nie mogli postąpić inaczej. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że ja chciałbym robić ' coś innego.

- To znaczy co?

Szukał oczyma Eshana Khana.

- Jeszcze nie wiem - szepnął. Milczeliśmy wszyscy, przygnębieni. Potem Ikebal wziął za rękę mnie i Marię.

- Idziemy! - wykrzyknął.

- Gdzie?

- Wychodzimy, nie wolno nam się smuć.

- Wychodzimy? - zapytałyśmy. - A możemy?

- Oczywiście, że tak. Jesteśmy wolni!

- I co chcesz zrobić? - spytałyśmy chórem. Ikebal zrobił tajemniczą minę.

- Eshan Khan podarował mi prezent. A ja ci kiedyś coś obiecałem...

Na ulicy wszystko było dla nas nowe, dziwne i hałaśliwe. Rozglądaliśmy się wokół bez końca. Świeciło słońce, wiał wiatr, roznosiły się zapachy. Wdrapaliśmy się na wzgórze, które dominowało nad miastem. Zostawiwszy za plecami ostatnie domy, dotarliśmy w miejsce, gdzie były tylko skały, trawa i ciepło południa. Miasto w dole było spowite mgłą, ale tu, na wzgórzu, powietrze było czyste i przezroczyste.

- Zamknijcie oczy! - rozkazał Ikebal.

Zakryłyśmy oczy dłońmi, ale kiedy zorientowałam się, że Maria podglądała między palcami, zrobiłam tak samo. Ikebal wyjął zza koszuli pakunek, rozłożył na trawie coś białego i kolorowego, rozwinął kłębek sznurka, zaczął biec i kiedy krzyknął do nas: - Teraz możecie patrzeć! - latawiec był już wysoko na niebie i podskakiwał na wietrze. Puściliśmy go w górę, poleciał aż do chmur, a nawet jeszcze wyżej.

Oddawaliśmy go sobie z rąk do rąk przez długie godziny, aż do momentu, kiedy silny podmuch bocznego wiatru zerwał sznurek i zobaczyliśmy, jak latawiec powoli tonie w błękicie, kierując się ku słońcu.

Byliśmy zgrzani i zdyszani.

- Zrobimy nowy - przysięgliśmy sobie. Kiedy późnym popołudniem schodziliśmy po zboczu w dół, w kierunku domu, Ikebal powiedział:

- Zdecydowałem. Zostaję z Eshanem Khanem, a wy zostajecie ze mną.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tak rozpoczął się rok, który spędziliśmy z Eshanem Khanem i działaczami Frontu Wyzwolenia.

- Chcę zostać z wami - powiedział Ikebal tamtego wieczoru po kolacji w dużym pokoju na parterze, gdzie zbierali się mężczyźni i kobiety z dyrekcji - by pomagać wam w wyzwolaniu wszystkich dzieci więzionych w Pakistanie.

Eshan Khan spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- To jest niemożliwe, Ikebalu. Wykazałeś się wielką odwagą, uciekając swojemu właścicielowi i pomagając uwolnić przyjaciół. Ale nie możesz zostać z nami - ty należysz do swojej rodziny. Co powiedziałby twój ojciec i twoja mama, gdybyśmy nie odwieźli cię zaraz do domu?

- Co to da, jeśli wrócę do mojej rodziny - bronił się - a za rok, a może nawet szybciej, będę znów uwięziony? To samo może zdarzyć się Marii albo Fatimie, czy też każdemu innemu z naszych przyjaciół. Ile jest dzieci, które pracują tak, jak my pracowaliśmy?

- Nie wiemy tego na pewno. Mnóstwo. Tylko w samym Lahore są setki nielegalnych tkalni, a jeszcze są cegielnie, a wyżej, w górach - kopalnie. Poza tym dzieci są też wyzyskiwane w rolnictwie... dziesiątki tysięcy dzieci, setki tysięcy może...

- Wy chcecie ich uwolnić - powiedział Ikebal - i ja też.

Maria i ja przysłuchiwałyśmy się rozmowie z otwartymi ustami. Nigdy nie miałybyśmy odwagi, żeby mówić w taki sposób, na równi z dorosłymi. Ale Ikebal w tym momencie wydawał się też dorosły.

- Zastanów się, Eshanie - wtrącił inny mężczyzna. - Chłopak jest bystry i może być nam przydatny. Sam wiesz, jak trudno jest przekonać sędziów, by interweniowali. Ikebal mógłby po kryjomu zakradać się do tkalni, rozmawiać z dziećmi, które by mu ufały, dostarczać nam niezbędnych dowodów. Bez niego nigdy nie udałoby nam się aresztować Hussaina.

Eshan Khan nie przestawał przecząco kiwać głową.

- Nie. A poza tym jest masa rzeczy, których musiałby się nauczyć...

- Nauczę się - obiecał Ikebal. - Już się nauczyłem czytać i pisać. No, chociaż trochę.

- To zbyt niebezpieczne. Producenci dywanów są silni i wszechmocni i właściciele cegielni też są silni. Lichwiarze są silni. Policja próbuje ich chronić, sami widzieliście. Sędziowie udają że nic nie widzą. Wszystkim nam grożono i prześladowano nas. Nie, nie

mogę się na to zgodzić.

Ikebal podniósł się z krzesła. W tym momencie wydał nam się wszystkim bardzo wysoki, jakby głową sięgał sufitu. Uśmiechnął się w swój specyficzny sposób.

- Ja się nie boję - powiedział. - Nie boję się nikogo.

Uwierzyli mu.

\* \* \*

Eshan Khan odwiózł Ikebala do jego rodziny i po dziesięciu dniach wrócił, by go odebrać. Po powrocie Ikebal spędził resztę dnia zamknięty w pokoju. Wieczorem wyszedł i powiedział do nas:

- Moja mama płakała, a mój tata drżał ze strachu. Ale teraz zrozumieli mój wybór i go akceptują. Obiecałem, że będę ich odwiedzał, jak tylko będę mógł. Wiesz, Fatimo - dodał po chwili - chcę studiować, chcę się wszystkiego nauczyć, chcę zostać sławnym adwokatem i wyzwolić wszystkie pakistańskie dzieci.

- Brawo, Ikebalu! - krzyknęła Maria.

Ja też powiedziałam: - Brawo!, ale drżał mi głos.

Ikebal faktycznie zaczął się uczyć. Uczestniczył we wszystkich zebraniach Frontu, siedział pomiędzy dorosłymi i słuchał ich z uwagą, marszcząc z wysiłku czoło, by wszystko dobrze zrozumieć. Ja też poszłam tam kilka razy, ale byłam zbyt głupiutka, by nadążać za ich rozumowaniem i skomplikowanymi kwestiami, które poruszali. Ikebal czytał książki, nie sypiał nocami i przy zapalonej świecy sylabizował słowa, jedno po drugim. Nauczył się obsługiwać aparat fotograficzny. A poza tym, jak tylko było to możliwe, rozmawiał z Eshanem Khanem. Rozmawiali godzinami.

Ci dwaj byli tacy sami, tak uważałam. Reszta naszych przyjaciół po kolei odjechała do swoich domów. Odjechał Mohammad. Wrócił w góry. Żegnając się z nami, jękał się jak zwykle i próbował ukryć wzruszenie. Odjechał Salman, który przed wyjazdem omal nie zmiądzzył mnie w niezadarnym uścisku i powiedział do Ikebala:

- Bracie, podobało mi się to, co zrobiliśmy Hussainowi. Zostałbym chętnie, by ci pomóc, ale moi starzy mnie potrzebują.

Odjechał Patyk, który zawsze potrafił nas rozśmieszyć. Odjechał mały Ali, płacząc bez opamiętania. Odjechali i inni.

Poza nami w starym domu o różowych ścianach pozostał tylko Karim, który w zamian za wikt i opierunek zaofiarował się wykonywać wszelkie polecenia, również - ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu - te wydawane przez Ikebala.

\* \* \*

Nie więcej niż miesiąc później Ikebal zakradł się do jednej z nielegalnych fabryk dywanów, mieszczącej się w piwniczce na północnych peryferiach Lahore. Zastał tam trzydzieścioro dwoje dzieci. Wszystkie chorowały na świerzb, były całe poranione i tak wychudzone, że kości przebijały im się przez skórę. Rozmawiał z nimi, pokazał im swoje blizny na rękach, by udowodnić, że nie kłamie. Sfotografował łańcuchy, krosna i kałuże, z których do wnętrza piwnicy przeciekała woda.

Trzy dni później ludzie z Frontu wtargnęli tam wraz z policją i sędzią, aresztowali właściciela i uwolnili dzieci.

Przez całą noc i następny dzień Maria i ja pomagałyśmy żonie Eshana Khana i innym kobietom nosić gary z gorącą wodą i organizować pobyt nowo przybyłym.

Na Allacha, ależ oni byli brudni! Czy to możliwe, że i my po przyjeździe byliśmy w takim stanie?

\* \* \*

W następnych miesiącach Ikebal przyczynił się do zamknięcia kolejnych jedenastu fabryk, gdzie wyzyskiwano nieletnich, uwalniając prawie dwieście dzieci. Siedziba Frontu wyglądała niczym sierociniec. Historia wszystkich dzieci była taka sama: wioska zagubiona gdzieś wśród pól, zmarnowany zbiór, pożyczka u lichwiarza, niewolnictwo.

- To wina lichwiarzy - mawiał Ikebal. - To oni są przyczyną wszystkiego.

Mógł już swobodnie przemawiać na zebraniach dorosłych, wyrażał swoje opinie, a inni go słuchali. Był niezmordowany. Ledwo skończył jedną misję, natychmiast rozpoczynał następną.

- Musimy ich wszystkich wsadzić do więzienia! - mawiał. - Wszystkich!

Pewnej nocy nie wrócił do domu i baliśmy się, że coś mu się stało. Wrócił rano z podbitym okiem i rozciętym policzkiem.

- Znalazłem następną - opowiadał - ale mnie złapali i zniszczyli aparat fotograficzny. Niech minie kilka dni, to tam wrócę.

Eshan Khan był z niego dumny, traktował go naprawdę jak syna. Muszę się przyznać, że czasami odczuwałam nawet lekkie ukłucie zazdrości. Niesłusznie, bo również ja i Maria byłyśmy traktowane jak córki i niczego nam nie brakowało. Sama nie wiem. Może przeczuwałam, że Ikebal i ja wchodzimy na dwie różne drogi i że wcześniej czy później będziemy musieli się rozstać. Nie opuszczała mnie też uporczywa myśl o mojej rodzinie, którą wreszcie uda im się odnaleźć. I co wtedy zrobię?

Pojawiły się też problemy.

- Musimy być ostrożni - mawiał Eshan Khan. - *Oni* nie poddadzą się tak łatwo. Im więcej dzieci udaje nam się uwolnić, im więcej denuncjujemy tych, którzy je wyzyskują, tym bardziej będą chcieli zamknąć nam usta. Bo boją się naszego głosu. Milczenie i niewiedza są *ich* sprzymierzeńcami.

Pewnego wieczoru usłyszałam niechcący, jak Eshan Khan mówił do swojej żony:

- Boję się o Ikebala. Już go znam, wiedzą, że to przede wszystkim dzięki niemu możemy ich atakować. Wiesz, jaki jest pełen zapału i nieostrożny. Musimy bardziej uważać.

Faktycznie, od tamtego czasu w salonie na parterze zawsze stało dwóch ludzi z Frontu, którzy trzymali wartę nocną. Pewnego razu obudziły nas dziwne odgłosy. Najpierw uderzenia i krzyki, potem jakby szuranie uciekających stóp. Kiedy spyaliśmy, co się stało, odpowiedziano nam, że nic. Ale to nie była prawda. Panowała dziwna atmosfera: zdarzało się, że na ulicy ktoś wygrażał nam pięścią i nas obrażał. Często na chodniku przed siedzibą Frontu widywaliśmy dziwnych osobników o złowrogich spojrzeniach. Stali tam godzinami i obserwowali, jak wchodziliśmy i wychodziliśmy.

Kiedy próbowałam wyobrazić sobie *ich*, czyli tych, którzy chcieli naszej zguby, przychodził mi na myśl Hussain, ale czułam, że w rzeczywistości muszą być dużo od niego gorsi, choć nie bardzo umiałam to sprecyzować.

Potem, na targu, miało miejsce pewne zdarzenie.

Nawet w tak dużym i nowoczesnym mieście jak Lahore plac targowy pozostał faktycznym centrum życia i aktywności. To tam, wcześniej czy później, każdy zajrzy, żeby zrobić zakupy, ale też by spotkać przyjaciół, porozmawiać, popatrzeć na ludzi. Regularnie co jakiś czas działacze Frontu szli na targ, sklecali mały podest z czterech desek, rozciągali długi transparent z napisem: STOP WYZYSKIWANIU NIELETNICH W PRACY, przyczepiali plakaty informacyjne, rozdawali ulotki, dokładnie tak, jak to było pierwszego razu, kiedy spotkał ich Ikebal. Organizowali krótkie wiece, mówiąc przez coś w rodzaju tuby, która nazywa się megafonem, po to, by było dobrze słyszeć nawet z daleka.

Zawsze zbierała się wokół nich niewielka grupa ludzi. Handlarze, szczególnie ci bogatsi, wyśmiewali przemawiających, obrażali ich, prowokowali, a nawet rzucali w nich różnymi przedmiotami. Znakomita większość obserwowała obojętnie. Tylko nieliczni byli na tyle odważni, żeby nieśmiało okazać swoje poparcie i byli to głównie chłopci, prości robotnicy lub ci, którzy wiedzieli z własnego doświadczenia, co oznacza stracić w ten sposób dziecko. O tym wszystkim opowiedział nam Ikebal, gdyż ani mnie, ani Marii nie było wolno uczestniczyć w takich wiecach.

- To zbyt niebezpieczne - mówiono. Tamtego dnia zabrał głos również Ikebal. Mówił, stojąc chwiejnie na rozsypującej się skrzynce od owoców, z trudem trzymając przed sobą tę tubę wzmacniającą głos, która jest bardzo ciężka. Mimo tremy i zakłopotania, nie zważając na krzyki, gwizdy i wszechpanujący zgielk, opowiedział o swoich doświadczeniach. Mówił o Hussainie, o łańcuchach i o fabryce dywanów, a potem (opowiadano mi, bo mnie tam przecież nie było) zaczął wymieniać nazwiska. Wykrzykiwał wobec wszystkich nazwiska, które słyszał na zebraniach, nazwiska wielkich lichwiarzy, nazwiska ludzi bogatych, ważnych, tajemniczych, którzy mieszkali w luksusowych domach w centrum miasta, którzy podróżowali i robili interesy na całym świecie. To byli *oni*, jak sądzę. Nazywał ich - jak mi opowiadali - handlarzami mięsem, wyzyskiwaczami, sępami.

Na placu wybuchły zamieszki. Jakaś grupka próbowała zaatakować podest, popychano się, policzkowano. Policja niechętnie interweniowała. *Ich* nie było na placu, to oczywiste, *oni* nie chodzą na targ. Ale niewątpliwie mają wielu przyjaciół.

Następnego ranka Eshan Khan wrócił ze stertą gazet. We wszystkich dziennikach z Lahore i w jednym z Karaczi pojawiły się artykuły opisujące wydarzenia dnia poprzedniego. W dwóch umieszczono nawet zdjęcie Ikebala zrobione, kiedy przemawiał z podestu, z tą śmieszną tubą przed sobą.

W jednej z gazet przedstawiano go jako „odważnego chłopca, który doniósł na swojego właściciela”, inne pisały o „haniebnej spekulacji opartej na wykorzystaniu naiwności chłopca”.

Nie wiem, co to miało znaczyć.

Wszyscy żartowaliśmy sobie z Ikebala, mówiliśmy mu, że powoli staje się gwiazdą filmową. Był czerwony jak burak.

- Ale dobrze się stało, prawda tatuśku? - spytał Eshana Khana. - Sam mówiłeś, że *oni* stają się coraz silniejsi dzięki milczeniu i niewiedzy. Cóż, tego raczej nie można nazwać milczeniem.

- Tak, Ikebalu - powiedział Eshan Khan - to, co się stało bardzo się nam przysłużyło. Ale nie wydawał się przekonany, był zaniepokojony.

\* \* \*

Dobrze pamiętam ten okres. Jak Ikebal wyrósł! Spodziewałam się, że lada chwila zacznie mu rosnać broda. Ale by śmiesznie wyglądał! Ja też urosłam. On był szczęśliwy, pełen entuzjazmu, spragniony nowości.

Zaczynaliśmy przyzwyczajając się do naszego nowego życia, do życia na wolności.

Mogliśmy wychodzić, kiedy chcieliśmy. Prawie. Żona Eshana Khana skrupulatnie bowiem nas pilnowała i narzucała nam sztywne godziny powrotu. Kiedyś sprezentowała nam dwie monety i poszliśmy do kina. Było dokładnie jak w opowiadaniach Karima. Wyświetlano film o Indianach, trwał cztery godziny, a ja płakałam przez cały czas. Ikebal był bardzo niesympatyczny i nie chciał, żebyśmy obejrzel film po raz drugi. Odkryliśmy telewizję. Słuchaliśmy tej dziwnej muzyki pochodzącej z daleka - mówiono, że z Ameryki. W pewnych momentach przypominała odgłosy, jakie wydają byki bodące się rogami, ale nie była zła.

Ikebal miał masę planów na przyszłość i zawsze chętnie o nich rozmawiał ze mną i z Marią. On nie bał się nowego. Ja trochę tak. Wydawało mi się, że wszystko dzieje się za szybko, a może tylko się bałam, że ten piękny sen się skończy.

Pewnego popołudnia do siedziby Frontu wszedł zabawnie ubrany pan z Zachodu. Powiedział, że jest amerykańskim dziennikarzem. Przeprowadził wywiad z Ikebalem i Eshanem Khanem, rozmawiali przez dwie godziny. Potem zjawił się jeszcze jeden, który powiedział, że jest korespondentem międzynarodowym.

- Kiedy również w innych krajach dowiedzą się o naszej walce - powiedział Eshan Khan - pomogą nam i będziemy bezpieczniejsi.

Dwie noce później obudził nas huk. Słyszeliśmy wrzaski i widzieliśmy płomienie sięgające okien na pierwszym piętrze.

Próbowaliśmy zejść na parter, ale Eshan Khan zatarasował nam drogę.

- Zostaniecie tutaj! - krzyknął.

Ktoś rzucił dwie bomby zapalające w budynek siedziby Frontu. Jeden mężczyzna został ranny. Odwiedziliśmy go w szpitalu, miał obandażowane ręce. To *oni* wysłali nam ostrzeżenie.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przeszło godzinę jechaliśmy w ciemnościach - rozpoczął opowiadanie Ikebal. - Nie świecił nawet księżyc i było bardzo zimno, dlatego też my, którzy jechaliśmy na pace, szukaliśmy schronienia pod nieprzemakalną płachtą płócienną, by się trochę ogrzać. Byliśmy jak noworodki pod koczykiem.

- Ale to musiał być widok!

- Strasznie chciało mi się śmiać, ale od razu zrozumiałem, że to nie na miejscu. Wszyscy byli bardzo poważni, spięci i nerwowi. Nikt nie miał ochoty na żarty. Eshan Khan ostrzegał nas, ty też to słyszałaś, Fatimo. Powiedział nam:

- Uważajcie, uważajcie, proszę was! Ten raz jest trudniejszy niż zwykle.

Faktycznie, nigdy wcześniej nie robiliśmy takiej akcji. W pewnym momencie zjechaliśmy z asfaltowej drogi i wjechaliśmy na wertepy. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajdowaliśmy, wokół nie było nic - ciemność, cisza i lodowaty wiatr, który smagał nas po twarzach.

Cegielnię ujrzeliśmy, kiedy właśnie zaczynało świtać. Stała na placu pełnym kamieni i błota, bez żadnego drzewa, bez źdźbła trawy. Wyglądała jak wzgórze z cegieł. Była brzydka, z wysokim masywnym kominem, którego ciemny kontur zarysowywał się na jasnym niebie. Już pracowali, Fatimo, gdyż w godzinach porannych można więcej wyprodukować. Potem słońce, upał i zmęczenie spowalniają pracę, bolą ręce i ramiona. Kiedy przyszliśmy, nawet nie podnieśli głów, żeby się nie rozpraszać. Gdybyś ich widziała, Fatimo! Byli porozstawiani na całym placu, jeszcze zmieszani z cieniami nocy. Każda rodzina miała swój dół. Wewnątrz dołu pracowali chłopcy, którzy wyrabiali ziemię z wodą, robili coś w rodzaju okrągłych bochenków z gliny. Używali małej motyki do drażenia w ziemi. To była bardzo twarda ziemia. Natomiast dziewczynki musiały chodzić po wodę do studni oddalonej prawie o kilometr. Chodziły tam i z powrotem z wielkimi dwudziestolitrowymi plastikowymi kanistrami. Potem chłopcy odrzucali wyrobioną glinę do matki, która wyrabiała ją raz jeszcze, dokładnie jakby to był chleb i rzucała do ojca. Ten wciskał masę do drewnianej ramy, odkrawał jej nadmiar, odwracał całość do góry dnem i układał na ziemi, żeby cegła wyschła na słońcu. W poprzek placu leżały już wielometrowe sznury cegieł, które wydłużały się z minuty na minutę, jak splot węża.

- Tak więc w cegielniach pracują całe rodziny?

- Siłą rzeczy. Tam się pracuje na akord: jednego dnia muszą wyrobić tysiąc dwieście

cegieł, żeby dostać sto rupii.

- Sto rupii to masa pieniędzy!

- Tak myślałem i ja. Ale słuchaj dalej. Wysiedliśmy z furgonetek, zbliżyliśmy się do jednej z rodzin i Eshan Khan wyjaśnił ojcu, kim jesteśmy i po co przyjechaliśmy. Ten człowiek nawet nie uniósł głowy. Kucał na ziemi i co trzydzieści sekund wyjmował z pieca cegłę. Był brudny, jego broda i długie włosy były całe wylepione błotem. Eshan Khan nie ustępował. Mężczyzna, nadal nie unosząc głowy, przerwał mu i wyszeptał: - Na miłość boską, bracie. Idźcie sobie. Przysięgam ci Fatimo, chciało mi się płakać. Bo to jest bardzo bolesne, kiedy widzisz dziecko pracujące w nieludzkich warunkach. My to dobrze znamy. Ale tam było gorzej. Bo to był mężczyzna. Dorosły człowiek. Ojciec. I... sam nie wiem...

- O co chodzi?

- No bo on już nie wyglądał jak człowiek. Nic z niego nie zostało. On i cała reszta, którzy w coraz jaśniejszym świetle czołgali się po ziemi, podążając za swoim sznurem cegieł. Przyszedł mi na myśl nasz Salman, który pracował w cegielniach i nigdy nie chciał o tym mówić. Teraz rozumiem dlaczego.

- Biedny Salman. Pamiętasz jego dłonie?

- Pewnie, że pamiętam. Zbliżyłem się do dołu i zacząłem rozmawiać z dziećmi, ale oni również na początku nie chcieli mi odpowiadać. Ale potem, najstarszy, musiał być w moim wieku, zaczął opowiadać, nie przestając przy tym kopać motyką i wlewać wodę do masy. Był cały w błocie - od stóp do głów.

- Co ci powiedział?

- Że są sześcioletnią rodziną i że w dobre dni udaje im się wyprodukować nawet tysiąc pięćset cegieł. Jeśli ziemia nie jest zbyt twarda. Jeśli nie zabraknie wody w studni. Jeśli tylko kilka cegieł popęka pod palącymi promieniami słońca, gdyż rozbitych cegieł się nie liczy. Że są dni, kiedy zarabiają sto dwadzieścia rupii i że to nie wystarcza.

- Jak to?

- Bo muszą płacić właścicielowi czynsz za barak, w którym mieszkają. Pokazał mi palcem niski i ciasny budynek obok cegielni. Na każdą rodzinę przypada pomieszczenie o wymiarach trzy na trzy metry, z piecem do gotowania, kilkoma połowymi łózkami, z małym okienkiem bez szyb. Właścicielowi muszą zapłacić również za zużyty węgiel, a jedzenie mogą kupować tylko u niego, gdzie wszystko kosztuje znacznie drożej. Jeśli się kupi pszenicę na *roti*<sup>18</sup>, trochę soczewicy, cebuli i innych warzyw oraz małą buteleczkę oleju, to nic już nie zostanie z całodniowego zarobku. Oni zaciągnęli już wielki dług i nie są w stanie spłacić nawet jednej rupii.



- Ja - powiedział mi ten chłopiec - odziedziczę dług po moim ojcu, a moje dzieci odziedziczą po mnie. Umył ręce w mętnej wodzie.

- Idźcie sobie - dodał potem. - Wkrótce przyjdzie *munshi*, dyrektor, a on nie lubi, gdy ktoś tu przychodzi.

- I co mu odpowiedziałeś, Ikebalu?

- Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Zobaczyłem jego stopy, jego i jego braci, najmłodszy mógł mieć pięć lat. Nigdy w życiu nie widziałem takich stóp. Szybko odwróciłem głowę, ale on zorientował się, że patrzyłem na niego. Zaczął się śmiać.

- Spójrz - powiedział.

Na podeszwie miał coś w rodzaju odcisku, dużego na dwa palce, czarnego, popękanego.

- Jak się rozpala piec, trzeba wejść na górę, wysoko, z koszykami i wsypać do dziury, która jest pośrodku, węgiel, żeby rozniecić ogień. Piec jest jak smok: je, je i wciąż mu mało. Żebyś słyszał jak huczy, a potem zionie ogniem.

- I to nie parzy? - spytałem.

- Pewnie, że parzy, dureń! - odpowiedział. Nie wiedziałem już, co mówić.

Nigdy jeszcze nie widziałam Ikebala tak przygnębionego. Tamtego dnia wszyscy mężczyźni wrócili z wyprawy pochmurni i jakby zniechęceni. Nawet Eshan Khan, który zawsze był optymistyczny i skory do żartów.

- Co się stało potem? - spytałam, mimo że już wiedziałam, gdyż wieść o tym rozeszła się natychmiast po ich powrocie. Ale wydawało mi się, że Ikebal miał potrzebę, by o tym mówić.

- Przyjechał *munshi* dużym samochodem. Zobaczył, że rozmawiamy z pracownikami i bardzo się wkurzył. Krzyczał, żebyśmy sobie poszli. Eshan Khan wyjaśnił mu, kim jesteśmy i że ci ludzie są wolni, że są pracownikami, i że mamy prawo z nimi rozmawiać. Ale ten wrzeszczał coraz głośniejsze. Tak często się zdarza, ty też o tym wiesz Fatimo, dlatego nie przejmowaliśmy się zbyt. *Munshi* rozejrzał się wokół. Wyglądał jak obłąkany. Był pełen nienawiści i niechęci w stosunku do nas. Pobiegł do swojego biura, blaszanego baraku pomalowanego na zielono, jedyne ze światłem elektrycznym (widać było kable). Myśleliśmy, że zadzwoni po kogoś, po swoich kumpli albo może nawet na policję.

- Jesteśmy razem - powiedział Eshan Khan - nic nam nie mogą zrobić.

*Munshi* wyszedł z baraku. Trzymał coś czarnego. Wyciągnął przed siebie rękę. To był pistolet, Fatimo. Strzelił. Słyszeliśmy strzały, biegnąc po placu, ślizgając się w błocie, szukając drogi ucieczki... Strzelał i strzelał i równocześnie nie przestawał nas wyzywać.

Wydawało się, że nigdy nie przestanie. Strzelał, by zabić, Fatimo, i to jest cud, że nikt nie został ranny. Wsiadliśmy do furgonetek i uciekliśmy. Jeszcze nigdy nie przeżyliśmy czegoś takiego.

Był wieczór. W domu były zapalone światła i czekaliśmy, by zawołano nas na kolację. Z okien dochodziły z dużą siłą codzienne odgłosy ulicy.

- To nic nie zmienia, Ikebalu - powiedziałam mu.

- Wiem - przytaknął - i tak będziemy nadal działać.

Ale było coś jeszcze, o czym chciał mi powiedzieć. Zniżył głos do szeptu. W tym momencie ulicą przejechała ciężarówka, prawie go nie słyszałam.

- Bałem się, Fatimo. Ale proszę cię, proszę, nie mów tego nikomu.

Zrobiłam tylko gest, jakbym zamierzała go szybko pogłaskać, bo wstydziłam się go dotknąć, a poza tym nie byłoby to stosowne.

- Na kolację! Na kolację! - krzyknęła żona Eshana Khana.

- Nie obawiaj się - szepnęłam. - Wiem o tym tylko ja i ty.

Kilka tygodni później Ikebal wyjechał. Ja również. To była jedna z naszych ostatnich rozmów.

Żałuję, że go wtedy nie pogłaskałam.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Był listopadowy dzień. Padała gęsta, nużąca mżawka, kiedy Eshan Khan zawołał mnie i Ikebala do swojego prywatnego biura. Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Eshan Khan był zawsze do naszej dyspozycji, ale kiedy zamykał się w swoim biurze, nie wolno było mu przeszkadzać. Ta żelazna zasada obowiązywała od zawsze.

Weszliśmy do małego pomieszczenia, pobielonego wapnem, które w przeciwieństwie do całej reszty domu, pełnej przedmiotów, kolorów i bałaganu, było puste i bardzo uporządkowane. Na biurku leżały ładnie poukładane kartki i telefon. Obok stało krzesło wyglądające na mało wygodne i zestaw do przygotowywania herbaty. Unosił się silny zapach tytoniu. Eshan Khan chodził tam i z powrotem, podenerwowany, z błyszczącym oczyma. W rękach trzymał wielki, kolorowy globus.

Widzieliśmy już go kilka razy, więc od razu pomyśleliśmy: „O nie! Lekcja geografii!”.

Ale biuro nie wydawało nam się właściwym miejscem na lekcję. Eshan Khan zakręcił globusem i pokazał nam rozległy obszar ziemi zaznaczonej na żółto.

- To są Stany Zjednoczone - wyjaśnił. - Duży i ważny kraj.

- Wiem - powiedział Ikebal, który miał nadzieję uniknąć w ten sposób lekcji - to tam tworzą piosenki.

- Tam jest Hollywood - przysłałam mu z pomocą - i gwiazdy filmowe.

Eshan Khan pokazał nam punkcik nad bezkresnym morzem.

- To miasto nazywa się Boston - mówił dalej, lekceważąc nasze popisy - i tu co roku zostaje przyznana nagroda, która nazywa się „Młodzi aktywni”. Otrzymuje ją młody człowiek, który w jakiś szczególny sposób wyróżnił się, robiąc coś pożytecznego w jakimkolwiek kraju na świecie. Nagroda przyznawana jest przez firmę Reebok.

- Wiem - powtórzył Ikebal - oni produkują buty.

Od miesięcy już marzył o parze butów Reeboka, ale były za drogie.

- Nagroda wynosi piętnaście tysięcy dolarów.

- A ile to rupii? - spytałam.

- Mnóstwo. Więcej niż możemy sobie wyobrazić. Nagroda w tym roku została przyznana Ikebalowi.

Zapanowało długie milczenie.

- Mnie? - wyszeptał Ikebal speszony.

- Tak - potwierdził Eshan Khan. - A wiesz, co to znaczy? To znaczy, że teraz jesteś znany na całym świecie i że wszyscy wiedzą, co dzieje się w Pakistanie i o naszej walce o zniesienie pracy dla nieletnich. To znaczy, że od teraz to *oni* muszą się pilnować, zanim nas dotkną. To jest zwycięstwo, Ikebalu i jest ono twoją zasługą. Ja i ty pojedziemy do Bostonu, żeby odebrać nagrodę. Ale najpierw... - raz jeszcze zakręcił globusem - zatrzymamy się tutaj.

Wskazał palcem na obszar w kształcie psa.

- To jest Szwecja - wyjaśnił. - A co to jest?

- Kraj, gdzie jest bardzo zimno. W Europie. Odbędzie się tam międzynarodowa konferencja poświęcona problemom związanym z pracą. Przyjadą ludzie z całego świata. Chcą, żebyś tam przemawiał.

- Ja?! - zdziwił się Ikebal. Otworzyliśmy usta w niedowierzaniu. To wszystko wydawało nam się snem, bajką, jedną z tych opowieści, jakie rodzice wymyślają swoim dzieciom na dobranoc. Nie mogliśmy uwierzyć, że ktoś w tym dalekim i nieznanym miejscu, które nazywają światem, mógłby wiedzieć o naszym istnieniu i o naszych cierpieniach. Byliśmy nikim, oberwańcami, którzy jeszcze przed rokiem pracowali z łańcuchami u stóp. A teraz wszystkie te ważne osoby chciały słuchać Ikebala!

- Na tym nie koniec - dodał Eshan Khan. - Uniwersytet koło Bostonu przyznał ci stypendium. To znaczy, że możesz się uczyć, skończyć studia. Czyż nie chciałeś zostać adwokatem?

Ikebal przytaknął speszony. Za dużo nowości, wszystkie naraz. Patrzył na zmianę na mnie i na Eshana Khana.

- Tak więc... - wyszeptał - wyjedziemy... - Nie będzie nas prawie przez miesiąc - powiedział Eshan Khan. - Zobaczysz, spodoba ci się podróżowanie, Zachód... poznasz tyle nowych rzeczy. .. Po powrocie będziesz mógł pojechać do swojej rodziny. Nie widziałeś ich od tak dawna. Potem będziesz się uczył, a jak będziesz miał wystarczająco dużo lat, żeby zacząć studiować... powinieneś być zadowolony.

- Jestem zadowolony - odparł Ikebal - ale ja chcę zostać tutaj, z tobą z Fatimą i z Marią... Chcę oswobadzać pozostałe więzione dzieci ...

- Nadal będziesz nam pomagał - zapewnił go Eshan Khan. - Jesteś dla nas zbyt ważny, wiesz o tym. Ale jeżeli uda ci się zostać dobrym adwokatem, będziesz nam jeszcze bardziej przydatny. Dla Fatimy też mam radosne wieści: nareszcie znaleźliśmy twoją wioskę i twoją rodzinę. Wrócisz do domu.

Serce podskoczyło mi w piersiach. Mój dom! Prawie nie pamiętałam, jak wyglądał. A moja mama? A moi bracia? Nagle zachciało mi się płakać. Jaka głupia! Tyle wspaniałych

wiadomości, a ja płakałam. Ale czułam, że właśnie kończy się jakiś ważny etap w moim życiu. Wracałam do domu, wolna. Ikebal zostanie słusznie nagrodzony za to, co zrobił. Wszystko tak dobrze się układało. Czyż ktokolwiek mógłby przypuszczać, że tak będzie, kiedy doznawaliśmy krzywd od Hussaina?

Jestem pewna, że płakałam ze szczęścia.

\* \* \*

Jak szybko przeleciały następne dwa tygodnie! Mam z tego okresu chaotyczne, pourywane wspomnienia, w strzępach, jak w niektórych snach.

Wielki różowy dom, który kipiał od pracy. Wszyscy biegający to z jednej strony, to z drugiej, zaangażowani w przygotowywania do wyjazdu. Dziennikarze pakistańscy i zagraniczni, którzy chcieli dowiedzieć się więcej o nagrodzie. Ogród, który wyglądał jak obozowisko. Jakżeż był smutny, a jednak pełen nadziei każdy zachód słońca... Ile zostało? Dziewięć dni. Eshan Khan, który przemawiał przed domem do trzech mikrofonów. Jakiś nieznajomy, który chodził w kółko, robiąc wszystkim zdjęcia. Powinnam była poprosić, żeby dał mi choć jedno, miałabym je teraz tutaj ze sobą. Nasze psy, przestraszone zamieszaniami, z podkulonymi ogonami. Kobiety ze szpilkami w ustach, szyjące ubranie a la Zachód, które Ikebal miał włożyć na ceremonię wręczenia nagrody: marynarka, spodnie, kamizelka z ładnego, niebieskiego, grubego materiału, bo tam, gdzie jedzie, będzie zimno. Ikebal w majtkach, zawstydzony, podczas gdy przymierzali mu spodnie.

- Na co się gapisz? - mówi, a ja mu pokazuję język.

Ikebal sam, stoi na środku pustego pokoju, ćwiczy przemówienie, które ma wygłosić w Szwecji i w Bostonie. Gubi się za każdym razem po kilku słowach i mówi do mnie:

- No, Fatimo, pomóż mi!

Wtedy ja biorę do ręki tekst napisany przez Eshana Khana i czytając jeszcze z pewnym trudem, podpowiadam mu kwestie.

- ...codziennie w Pakistanie siedem milionów dzieci wstaje przed wschodem słońca, po ciemku. Pracują aż do wieczora. Tkają dywany, wypalają cegły, kopią w polu, schodzą do kopalni. Nie bawią się, nie biegają nie krzyczą. Nigdy się nie śmieją. Są niewolnikami, do stóp mają przykute łańcuchy... Do momentu, kiedy na świecie będzie bodaj jeszcze jedno dziecko pozbawione dzieciństwa, bite i gwałcone, nikt nie będzie mógł powiedzieć: to mnie nie dotyczy. Nieprawda - to dotyczy również was. I nieprawdą jest, że nie ma nadziei. Spójrzcie na mnie: ja nigdy nie straciłem nadziei. Wy, szanowni panowie, musicie mieć odwagę...

Ile zostało? Sześć dni.

Gwałtowne oberwanie chmury, woda płynąca ulicami. Niespotykane spokojne popołudnie, wyjątkowa cisza. Żona Eshana Khana, która bierze mnie w ramiona i mówi:

- Biedna mała.

Wyjaśnia mi, że moja mama zmarła i że mój najstarszy brat Ahmed jest teraz głową rodziny, że nie może się doczekać, kiedy mnie znowu zobaczy i że chyba chce wyjechać gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie, by szukać szczęścia w jakimś obcym kraju, gdzie wszyscy znajdują pracę i szacunek - tak powiedział - i że zabierze ze sobą również mnie i mojego młodszego brata, Hasana.

Po tej rozmowie weszłam po kryjomu do sypialni Eshana Khana i jego żony. Otworzyłam drzwi starej szafy, bo jest tam jedyne w całym domu duże lustro, w którym można się zobaczyć od stóp do głów. Przyjrzałam się sobie uważnie, chyba po raz pierwszy w moim życiu. Stała tam chuda, potargana, wyrośnięta dziewczyna. Urosłam, to prawda, wystarczyło spojrzeć, jak kuse stało się ubranie, które noszę - prawie odsłaniało mi kolana.

Może nadszedł moment, bym założyła *pardah*. Powiem to żonie Eshana Khana.

Zostało ustalone, że pojedę do mojej rodziny zaraz po wyjeździe Ikebala. Obiecali mi, że będą mnie informować o wszystkim i że jeżeli faktycznie będę musiała wyjechać do obcego kraju, najpierw przyjadę się pożegnać.

Ostatniej nocy, jaką spędziliśmy w wielkim domu, obydwójce z Ikebalem wstaliśmy z łóżek, bez uprzedniego umówienia, spotkaliśmy się w salonie i długo rozmawialiśmy, dokładnie tak, jak to było w warsztacie Hussaina.

Rozmawialiśmy o tylu rzeczach, nie pytajcie mnie o jakich.

Następnego dnia o świcie odwieźliśmy Ikebala i Eshana Khana na lotnisko. My dwoje siedzieliśmy na tylnych siedzeniach. Dzień był bardzo wietrzny. Potem weszliśmy na taras, skąd widzieliśmy, jak Ikebal i Eshan Khan wsiadali do samolotu. Pomachali nam ręką, z daleka.

Samolot wystartował. Ikebal poleciał w niebo na największym latawcem.

Serce waliło mi mocno, a jakieś dziwne uczucie ścisnęło mi duszę i paraliżowało ciało.

Samolot zniknął na horyzoncie.

„Ciekawe jaka jest ta Ameryka” - pomyślałam.

Nie mogłam wtedy wiedzieć, że już go nigdy więcej nie zobaczę.

\* \* \*

Przywieźli mnie do mojego domu. Z długiej podróży pamiętam furgonetkę, która podskakiwała na wszystkich wybojach. Pamiętam pola, częściowo zielone, a częściowo szare, zatopione pod wodą. Pamiętam zwierzęta i ludzi rozproszonych dookoła, schylonych przy pracy. Pamiętam drogi rozkopane i błotniste. Przy każdym skupisku chat myślałam: „Czy to jest moja wioska?”.

Nie ufałam swojej pamięci, byłam zagubiona.

Człowiek, któremu Eshan Khan powierzył odwiezienie mnie do domu, był porządny i sympatyczny. Gadał i gadał, żeby mnie rozerwać, tak jakby rozumiał, co czułam. Chciałam wrócić do mojej rodziny, ale równocześnie było mi smutno.

Dojechaliśmy. Mój brat Ahmed stał się mężczyzną. Hasan, młodszy, był wyższy ode mnie. W domu stopniowo przypominałam sobie przedmioty, które kiedyś były mi znajome. Instynktownie odnalazłam drogę do studni, którą przechodziłam tyle razy, próbując utrzymać na głowie chwiejący się dzbanek z wodą. Nawet bawół wydawał się ten sam, tylko trochę starszy i wyliniały.

Gotowałam, sprzątałam, pomagałam w polu tak, jak kiedyś z pewnością robiła moja mama. O długiej podróży w poszukiwaniu szczęścia, w którą mieliśmy wyruszyć, wiedziałam niewiele i nie interesowało mnie to.

Mijały dni, które na wsi wydawały się znacznie dłuższe.

Dostałam list od Marii. Pobiegłam przeczytać go w krzakach.

Pisała: *Tutaj wszystko w porządku. Że Ehsan Khan dzwonił raz ze Szwecji i dwa razy z Ameryki. Że rozmawiała też z Ikebalem, który ma się dobrze. Że Ikebal wygłosił przemówienie w mieście, które nazywa się Sztokholm i że wcale się nie pomylił, i że na końcu ci dobrze ubrani panowie, którzy przyjechali z całego świata, wstali z miejsc i bili mu brawo. Że również w Ameryce, w Bostonie, urządzali mu wielkie przyjęcia i że wszyscy chcieli go poznać, i że kiedy wręczano mu nagrodę, niektóre kobiety płakały, i że Ikebal narzekał, bo jego nowe buty obcierały mu stopy. Że Ikebal bardzo mnie pozdrawia. Że wkrótce wracają. Że Ikebal pojedzie na trochę do swojej rodziny, bo zbliża się Wielkanoc, święto, które dla chrześcijan takich, jak Ikebal, jest równie ważne jak Ramadan dla nas. Że ma nadzieję, że u mnie też wszystko w porządku i że jest ciekawa, jaka jest moja wioska. Że jeszcze do mnie napisze.*

*Całusy. Maria.*

W kopercie był jeszcze artykuł wydarty z jakiejś amerykańskiej gazety. Nie rozumiałam oczywiście, co tam było napisane, ale w tekście wielokrotnie natknęłam się na imię Ikebala i było też jego jedno zdjęcie, któremu przyglądałam się bardzo długo, mimo że

było ciemne i niewyraźne.

Mijały kolejne dni.

Zaznaczałam je kredą w narożniku ściany, żeby nie stracić rachuby. Minęły dwa tygodnie, potem miesiąc, a kulejący człowiek, który raz na dziesięć dni kręcił się po domach, roznosząc pocztę, nie pokazywał się.

- Wkrótce wyjeżdżamy - powiedział mój brat Ahmed.

Skończywszy pracę, siedziałam przed domem i obserwowałam ścieżkę prowadzącą do wioski.

„Zapomnieli o mnie” - pomyślałam.

Przypominałam sobie latawce, Ikebala, kiedy stał wyprostowany przy rozciętym dywanie, tamtą noc, kiedy czołgaliśmy się aż do Lochu, żeby mu pomóc, popołudnie w kinie w Lahore. Nie chciałam wyjeżdżać do obcego kraju, brzydkiego i dalekiego.

Dwa dni przed ustaloną datą naszego wyjazdu do Europy, zobaczyłam w oddali kuśtykającego z trudem przez zabłocone pola listonosza. Miał pocztową torbę przewieszoną przez ramię i laskę, na której się podpierał, a która przy każdym kroku zanurzała się w głąboko w błocie.

Tego dnia niebo było brzydkie, szarosiwe i złowrogie. Chmury wisiały nisko nad horyzontem, wszystko wydawało się ciemne i brudne. Siedziałam przed domem, patrząc na zbliżającego się bardzo powoli listonosza. Nie mogę powiedzieć, że miałam złe przeczucia. Po prostu w pewnym momencie łzy zaczęły mi spływać z oczu strumieniami, tak same z siebie.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Fatimo, moja przyjaciółko, moja ukochana siostró.*

*Jak bardzo chciałam móc być blisko Ciebie w tych dniach, móc z Tobą rozmawiać, płakać w Twoich ramionach. Pamiętasz, ile razy tak robiłam w przeszłości? A Ty zawsze umiałaś znaleźć sposób, żeby mnie pocieszyć i wesprzeć, zawsze potrafiłaś dobrać właściwe słowa.*

*Jaka szkoda, że nie mogłaś tak zrobić tym razem! Jaka szkoda, że nie mogliśmy dzielić razem naszego bólu! Jaka szkoda, że teraz ja nie mogłam dobrać właściwych słów!*

*Wiem, nie pisałam do Ciebie od tak dawna. Pewnie myślałaś, że zapomniałam o Tobie, że moje uczucie do Ciebie zniknęło jak mgła poranna na polach. Ale nie potrafiłam, wierz mi, przekazać Ci tej wiadomości. Nawet teraz moja ręka drży a łzy - jak widzisz - moczą papier. Wybacz mi moje tchórzostwo. Ale jednak nie powinnaś dowiedzieć się tego od innych, nie wiadomo, co by Ci powiedzieli.*

*A więc Ci opowiem.*

*Ledwie wróciwszy ze swojej długiej podróży, Ikebal wyjechał znowu. Jego wioska, jak mi powiedzieli, znajduje się niedaleko od Lahore, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. Ikebal miał odwiedzić swoją rodzinę i spędzić z nimi Wielkanoc, która jest chrześcijańskim świętem, upamiętniającym - jak mi się zdaje - śmierć i zmartwychwstanie ich Boga. Miał się zatrzymać u rodziców co najmniej przez miesiąc, ale potem miał do nas wrócić, by podjąć od nowa swoją walkę. Mówił, że obiecał to tym wszystkim, do których przemawiał w Ameryce i że musi dotrzymać słowa.*

*Sama wiesz, jaki on był.*

*Podobno w wiosce wszyscy przyjęli go jak bohatera, z wielką radością. Wszyscy wiedzieli, czego dokonał, więc patrzyli na niego z podziwem i z szacunkiem. Cała społeczność przyszła pod jego dom, by go przywitać, przynieść mu podarunki i spytać, czy to prawda, że latał samolotem.*

*Podobno po dwóch dniach Ikebal był już tym wszystkim trochę zmęczony i wolał unikać ludzi. O świcie wychodził ze swoim ojcem w pole i długo z nim rozmawiał. A popołudniami jeździł na swoim starym rowerze, razem z dwoma młodszymi kuzynami, albo puszczał latawce. Pamiętasz, jak to lubił?*

*Podobno był szczęśliwy, pogodny i pełen planów.*

*Mówią, że tamtej niedzieli, w święto Wielkiej Nocy, była piękna słoneczna pogoda.*

*Ikebal najpierw poszedł do swojego kościoła, a potem odwiedzał po kolei domy swoich krewnych, którzy dawali mu w prezencie jajka - nie wiem po co. Potem wydano uroczysty obiad, ze śpiewem i tańcami, i nawet było mięso - pomyśl tylko! - i desery wszelkiego rodzaju, laddu, pomarańczowe jalebi<sup>19</sup> i barji<sup>20</sup> i że Ikebal jadł ich tyle, aż rozboleł go brzuch. Potem, kiedy dorośli rozmawiali ze sobą, dzieci rozbiegły się wokół, żeby się bawić i co jakiś czas słychać było ich głosy, gdy nawoływały się i krzyczały.*

*Mówią, że była mniej więcej trzecia po południu. Ktoś inny zaklinał się, że później, bo słońce schodziło już ku zachodowi, kiedy na drodze wjazdowej do wioski pojawił się samochód, unosząc tumany kurzu. Był to duży czarny samochód, cały w błocie. Wydawało się, że nikogo nie było w środku i że samochód jechał sam, rozjeżdżając żwir ogromnymi kołami. W każdym razie nikt nie widział, kto siedział za kierownicą.*

*Według niektórych stało się to dokładnie w momencie, kiedy rozszalała się gwałtowna burza i krople wielkie jak monety zaczęły uderzać o ziemię, a potężne grzmoty wprowadziły słomiane dachy domów w drżenia. Inni twierdzą natomiast, że było to znacznie później.*

*Czarny samochód przejechał powoli przez wioskę, a potem skręcił w ścieżkę prowadzącą na pola ryżowe. Woda z nieba mieszała się z tą na ziemi.*

*Podobno Ikebal wjeżdżał właśnie ścieżką w górę, stojąc na pedałach swojego roweru, żeby łatwiej mu było podjechać, z mokrymi, wchodzącymi do oczu włosami, w koszulce kupionej w Ameryce, która trzepotała na wietrze.*

*Nikt nie wie, jak to się stało, Fatimo, moja siostró. Ale ktoś przebąkiwał, że widział z daleka, w strugach deszczu zlewających się z wodą z pól ryżowych, że kiedy Ikebal przejeżdżał koło tego samochodu, szyba okienka opuściła się bardzo powoli, a potem nastąpiły trzy wystrzały, błyski, cztery, pięć - nikt nie wie dokładnie - i zanim wszczęto alarm, zanim zbiegli się ludzie i zanim zorientowali się, co się stało, czarnego samochodu już dawno nie było, zniknął bez śladu, nawet nie pozostawiając odcisków opon w błocie. Nic. Tylko woda pod ciałem Ikebala zabarwiła się na jasnoczerwony kolor, ale zaraz i to zostało rozmyte przez deszcz. Tyle nam opowiedziano.*

*Ale posłuchaj mnie, Fatimo, moja siostró. Ja wiem, że to nie jest prawda.*

*Nie, nie zwariowałam. Tygodniami myślałam, że znowu wróciło mi to, co miałam kiedyś, gdy przestałam mówić, pamiętasz? Zamknęłam się w sobie. Cały czas powtarzałam w duchu: to nieprawda, wiesz, jacy są ludzie, jak sobie wymyślają różne rzeczy, jak się mylą.*

*Ale wszyscy byli przekonani, że to prawda. Nawet Eshan Khan, nawet jego żona. Tylko ja byłam pewna, że nie.*

*Potem, pewnego popołudnia przed dwoma tygodniami, ktoś zapukał do drzwi od*

strony naszego ogrodu. Ktoś - nie pamiętam kto - poszedł otworzyć, a na progu stał mały chłopiec, cały brudny, ze śladami po łańcuchach na kostkach nóg. Opowiedział, że pracował w fabryce dywanów i że uciekł. Powiedziano mu, że my pomożemy mu donieść na jego pryncypała.

*A potem wiesz, co powiedział?*

*Powiedział:*

*- Ja się nie boję.*

*Przyjrzałam mu się dobrze, Fatimo: to był Ikebal, przysięgam ci!*

*Był identyczny! Miał te same oczy, ten sam głos.*

*Trzy dni później przyszedł następny. A potem, na targu, jakiś chłopiec zbuntował się przeciw swojemu właścicielowi, jednemu z najbogatszych handlarzy na targu.*

*Tamtych też widziałam. Wszyscy byli identyczni jak Ikebal.*

*Nie bądź smutna, Fatimo, jeśli potrafisz. Stało się coś, co zmieniło nasze życie, na zawsze. Powiedziałam Eshanowi Khanowi, że teraz ja będę się uczyć, że pojedę na uniwersytet. Zostanę adwokatem, będę walczyć, by wyzwolić wszystkich niewolników w Pakistanie i na całym świecie.*

*Wiesz co? Ja też się już nie boję, po raz pierwszy.*

*Moja siostrze, nie wiem, gdzie pojedziesz, jak będę mogła się z Tobą kontaktować, czy jeszcze się zobaczymy. Proszę Cię tylko o jedną, jedyną rzecz: nie zapomnij o niczym. Nawet o najdrobniejszym, najmniej znaczącym szczególe. Opowiedz komuś naszą historię. Opowiedz ją wszystkim. Tak, żeby nie umknęło z niej żadne wspomnienie.*

*Tylko w ten sposób Ikebal będzie zawsze z nami.*

*Obejmij mnie*

*Twoja siostra Maria*

## EPILOG

Iqbal Masih został zamordowany w dzień Wielkiej Nocy 1995 roku w Mauritke - wiosce oddalonej o trzydzieści kilometrów od Lahore, w Pakistanie. Miał około trzynastu lat.

Wykonawcy i zleceniodawcy tego zabójstwa nie zostali nigdy wykryci.

Eshan Khan oświadczył: „Zamordowała go mafia dywanowa”.

Od tamtej pory imię Iqbala stało się symbolem walki o wyzwolenie dziesiątków milionów dzieci na całym świecie spod przemocy i niewolnictwa.

## O NAGRODZIE REEBOK HUMAN RIGHTS

Niewiele osób w Polsce wie, że firma Reebok, tradycyjnie zajmująca się produkcją i sprzedażą artykułów sportowych, jest również od prawie dwudziestu lat silnie zaangażowana w ruch obrony praw człowieka. W oparciu o ideologię tych praw, w 1992 roku Reebok wprowadził do swojej produkcji standardy pracy zakazujące między innymi zatrudniania dzieci i niewolniczego wyzysku oraz gwarantujące sprawiedliwe wynagrodzenie.

W 1988 roku, w czterdziestą rocznicę ogłoszenia Deklaracji Narodów Zjednoczonych, Reebok wraz z Amnesty International zorganizował trasę koncertową pod hasłem *Human Rights Now!*, w której wzięli udział tacy wielcy artyści jak Bruce Springsteen, Sting czy Peter Gabriel.

Od tego czasu rokrocznie podczas uroczystej gali Fundacja Reebok Human Rights przyznaje nagrody w wysokości 50 tysięcy dolarów młodym ludziom, wyłanianym spośród kandydatów z całego świata, którzy pomimo wielu przeciwności walczą o wolność i równość dla wszystkich. Do tej pory nagrodzono osiemdziesięciu czterech działaczy z trzydziestu ośmiu krajów.

W skład kapituły, która wybiera laureatów, wchodzi m.in. były prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter oraz muzyk Peter Gabriel.



## **OBJAŚNIENIA TŁUMACZA**

<sup>1</sup> Lahore [lahor] - jedno z największych pakistańskich miast (przeszło 5 milionów mieszkańców) i jednocześnie kulturalna i intelektualna stolica kraju. Położone na wschodzie Pakistanu, na zachodnim przedgórzu Himalajów, nad rzeką Ravi, w pobliżu granicy z Indiami.

<sup>2</sup> Purdah [parda] - znaczy dokładnie w indyjskim: zasłona. Purdah zakładają na twarz dziewczyny po pierwszej menstruacji. Zwyczaj ten wprowadzony został przez mężczyzn, pragnących mieć pełną kontrolę nad swoimi kobietami.

<sup>3</sup> Eshan [eszan] - hinduskie imię męskie.

<sup>4</sup> Khan - znaczy władca. Dawniej w Azji Środkowej był to tytuł oznaczający władzę. Obecnie w krajach muzułmańskich stanowi część imienia i określa wysokie urodzenie. Przez wielu używane jest jako nazwisko.

<sup>5</sup> Chapati [czapati] - rodzaj płaskiego pszennego chleba.

<sup>6</sup> Dahi [dai] -jogurt.

<sup>7</sup> Rupia - (sansk. *rupja* = 'srebro') - nazwa jednostki monetarnej kilku państw azjatyckich - Indii, Sri Lanki, Nepalu, Pakistanu i Indonezji oraz wyspiarskich krajów na Oceanie Indyjskim: Malediwów, Seszeli i Mauritiusu. Wartość jednej rupii pakistańskiej odpowiada mniej więcej 5 groszom polskim.

<sup>8</sup> Laddu [ladu] - typowy deser podawany w Pakistanie i Indiach na różnego rodzaju święta rodzinne, jak na przykład śluby. Podstawowymi składnikami są mąka i mleko, z których formuje się kulki, moczone w syropie cukrowym.

<sup>9</sup> Suk - rynek, plac targowy, bazar.

<sup>10</sup> 10Karaczi - ponad dziesięciomilionowe miasto w południowej części Pakistanu, na wybrzeżu Morza Arabskiego. Założone przez kupców indyjskich na początku XVIII w. W latach 1947-1959 Karaczi było stolicą Pakistanu.

<sup>11</sup> Bucharą -jedno ze starożytnych orientalnych miast na trasie Jedwabnego Szlaku (Uzbekistan), gdzie sprzedaje się piękne ręcznie wytwarzane tkaniny wełniane. Dywany Bucharą są rozpoznawane nawet przez ekspertów w USA i Europie Zachodniej i uznawane za jedne z najdoskonalszych, unikatowych, wysokiej jakości na świecie.

<sup>12</sup> Muezin - w islamie mężczyzna pięć razy dziennie wzywający z minaretu wiernych do modlitwy. Muezin jest wybierany spośród mężczyzn, którzy wyróżniają się dobrym charakterem, a także dobrym głosem. Wzywając wiernych, zwraca się kolejno na wszystkie strony świata. W czasie samej modlitwy muezini w niektórych meczetach stoją na specjalnej platformie naprzeciwko kazalnicy i odpowiadają na modlitwy imama.

<sup>13</sup> Choti Eid [czoti id] - inaczej Id al-Fitr, święto Zakończenia Ramadanu, jedno z dwóch kanonicznych świąt islamu przypadające na ostatnie trzy dni Ramadanu.

<sup>14</sup> Samosa - smażona przekąska z wytrawnego ciasta nadziewanego mięsem lub warzywami.

<sup>15</sup> Shami kebab [szemi kebab] - rodzaj kotlecików zrobionych z gotowanego mięsa z przyprawami i soczewicą, usmażonych następnie w głębokim oleju.

<sup>16</sup> Kurczak tandoori [tanduri] - szaszłyki z kurczaka, pieczone na specjalnym rodzaju pieca glinianego (tandoori).

<sup>17</sup> Faisalabad - jedno z większych miast we wschodnim Pakistanie (ok. 3,5 mln mieszkańców).

<sup>18</sup> Roti - rodzaj płaskiego chleba pszennego, który spożywa się z mięsem.

<sup>19</sup> Jalebi [dżelebi] - bardzo słodki deser w kształcie zakręconych rurek.

<sup>20</sup> Barfi - deser robiony z gotowanego mleka i cukru z dodatkiem orzechów - najczęściej pistacjowych.